



Nowości Literackie"

Tom 52.

HELENA STAŚ



NA LUDZKIM □ TARGU □

———— SZKIC ————
POLSKO-AMERYKAŃSKI



WARSZAWA___1911
NAKŁADEM KSIĘGARNI
ST. SADOWSKIEGO
:: UL. ZŁOTA Nr. 1. ::

I.

Pożegnanie.

— Przykro Aneczko żegnać rodzinę, ciebie, miejsca ukochane — mówił młody człowiek, liczący co najwyżej dwadzieścia cztery lata do siedzącej obok niego na ogrodowej ławeczce, młodej dziewczyny.

W miejsce pocieszającej odpowiedzi, usta dziewczęcia zacisnęły się boleśnie, a z mrocznych ocz strumieniem popłynęły łzy.

— Nie płacz najdroższa, Bóg doda sił do przetrwania przeciwności losu i chwila, która połączy nas na zawsze — jest może nie zbyt daleką.

Zachodzące właśnie słońce, rzuciło ostatnie promienie na drzewo jabłoni, pod którym młodzi ludzie siedzieli i przez gąszcz liści przecisnęło się do nich, by blade, zaigrać nad ich głowami.

Dziewczyna zauważyła niepewną grę światła, a robiąc doń aluzję, wyrzekła ze smutkiem.

— Patrz Stasieczku, moja nadzieja połączenia się z tobą w obec tej rozłąki, jest tak bladą, jak bladym jest światło słońca w chwili naszego pożegnania. Jedziesz do Ameryki, do kraju bogactwa, czy będziesz pamiętał biedną, jak ja sierotę?

— Aneczko, nie wąp! Przez półtora roku, to jest od czasu naszego narzeczeństwa, czy dałem ci powód do wąpienia?

— Tu, najdroższy, łączyła nas jedna ziemia, jeden kościół, jedna mowa. Tam, wszystko obce; nowe prądy cię porwą, a na ich falach nie tylko że mnie zapomnisz — ale i siebie zgubisz.

— Jeśli kto, to nie ja zasługuję na podobne podejrzenia—odparł poważnie młody człowiek.—Anno! ty znasz każdą myśl moją, każde drgnienie mego serca. Wiesz, że własną pracą ze stanu wieśniaczego doszedłem do stanowiska nauczyciela, byłeś świadkiem, jak za to, że odczułem krzywdę ucynioną polskiej mowie, przeniesiono mnie do niemieckiej osady nad Renem, a było to w czasie, gdy poznałem ciebie, a w tobie szczęście moje, a przecież nie słyszałaś mnie wśród tych przeciwności szemrzącego prze-

ciw Bogu, więc czemuż wątpisz w stałość mych uczuć? Kochać Boga, Ojczyznę i ciebie, Aneczko, jest treścią mego życia i tej zostanę wierny. — Tam nad Renem, każda stopa niemieckiej ziemi, każdy szelest jej drzew gałęzi, każdy dźwięk niemieckiej mowy — szydzą ze mnie i pędzą dalej w obcy kraj, gdzie nie zobaczę sromoty ojczyzny, ani usłyszę urągającego Polakom szyderstwa. Zresztą, tam jest dużo Polaków, organizują się pięknie; wśród swoich więc zamieszkać i ufny w dobro, chętnie będę pracować, by jaknajprędzej usłać dla ciebie gniazdeczko.

Patrzył z tkliwością w bólem ściągniętą twarzyczkę dziewczyny, a nie odebrawszy od niej ani słówka ciągnął dalej:

— Wiem, żeś dobrą Polką. Nie jedna twoja modlitwa posłana w niebo przed krwawym ołtarzem naszej Ojczyzny—złączyła się z moją. Nie mam przed tobą tajemnic, więc zwierzę ci się z mych marzeń. W myśli mej snuje się, że narodowy nasz ołtarz krwawych poświęceń, dopełnił swego przeznaczenia; zeń musi się odrodzić niekrwawa ofiara ducha i dokonać dzieła odkupienia. Mam przecucie, że odrodzony polski duch ukaże się na obcej ziemi, więc chyba grzechu nie popełniam, jeśli dążę, by

z innymi zakładać dlań narodowy ołtarz niekrwawych poświęceń.

— Ufam ci Stasieczku!—przerwała jakby przekonana Anna.—Jedź z Bogiem i pamiętaj o biednej Polsce i tęskniącej narzeczonej.—Więcej wyrzec nie mogła. Łkanie wy dobyło się z trwogą ściśnionej piersi. Oparła główkę o ramię narzeczonego i płakała cicho.

Młody człowiek nie wiedział jak pocieszać, bo i jemu żal rozrywał piersi. Pochwyił ręce narzeczonej i okrywał je wymownymi pocałunkami.

Słońce i cały blask znikły za górami, mrok ogarnął ziemię, podwajając ponurością swoją cień smutku w duszach narzeczonych.

Puszczając ręce Anny, Stanisław odezwał się cicho:

— Muszę cię już zostawić — skarbie ty mój drogi!—wypada mi śpieszyć...

Powstali. Anna, pod wrażeniem jakiegoś strasznego przecucia — drżała na całym ciele.

— Pisz jak najprędzej!—szepnęła z mocą. Rzucili się sobie w ramiona, a usta po raz pierwszy spoiły się pocałunkiem. Nie był to rozkoszny pocałunek złączenia, o ja-

kim zwykle narzeczeni marzą, ale smutny—rozłąki.

Dziewczyna w przeczuciu, że traci ukochanego na zawsze, oddała mu w pocałunku tym całe swoje jestestwo. Zawisła na jego szyi i nie myśląc o niczem innym tylko, że traci to, co było dziewiczych jej marzeń pragnieniem i wypełnieniem, to co było tłem jej życia, namiętnie tuliła się do niego.

Stanisław odczuwał i podzielał smutek dziewczyny, gorącość jej uczucia. Wyczuwał każdy jej nerw falujący bólem i miłością, każde drgnienie niespokojnego serca... Ale w rozkołysanej pieśczołą wyobraźni, ukazał się za czarem pocałunku—świat szeroki z różnemi jego drogami i ścieżkami. Nie potrzebował się zastanawiać, którą wybierze, bo wybór był już zrobiony. Droga obowiązku była jego drogą i ku niej, nawet objęty namiętnym uściskiem ukochanej dziewczyny, skierował swą myśl.

— Nie pójde—widniało w jego umyśle—zdobyć szczęście dla siebie, dla Anulki, dla ojczyzny. Tam w dalekiej krainie uściele gniazdko Anulce, tam, zawiozę udreżonego polskiego ducha.

Raptownie oderwał usta od ust dziewczęcia i szepnął pieśczołliwie:

— To tylko na chwilę, najdroższa. Skoro się rozpatrzę i dostanę jakiegokolwiek zajęcie, zaraz po ciebie napiszę.

Ucałował raz jeszcze jej ręce i postąpił ku drodze. Anna zboleła, nie mogła wyrzec ani słowa. Nagle, zdjęła z siebie krzyżyk, który, zadzierzgnięty na białej wstążeczce, nosiła na piersiach, rzuciła się za narzeczonym i zawiesiła tenże na jego szyi.

Nie miała siły towarzyszyć mu choćby jeszcze kilka kroków, tylko, gdy skręcał koło parkanu ogródka, złamanym głosem zawołała:

— Stachu! [noś krzyżyk zawsze przy sobie, niech on cię broni od złego!

Nie słyszała odpowiedzi, bo wpadła do domu i tam przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej—tonąc w łzach—błagała niebo o opiekę nad narzeczonym.

Słyszała ona o niebezpieczeństwach, pokusach i zasadzkach na ludzką duszę na szerokim świecie, więc drżała obawą o ukochanego. W jej małym świątku, w którym żyła, widziała dosyć pokus, o ile zatem więcej musiało być na wielkim...

Anna była dzieckiem małej wioski. Myśl jej choć bardzo rozwinięta, pragnieniem nie wybiegała dalej, jak do sąsiedniego miasteczka, dokąd jeździła za sprawunkami. Cała

mądrość świata skupiała się w kościółku, który w jej wyobraźni przybierał formę nieba. Książki polskie dawane jej przez księdza proboszcza pouczały ją, czem Polka w obecnych czasach być powinna. W Bogu zatem i ojczyźnie widziała cel życia.

Kochała wszystko co dobre i piękne, odczuwała krzywdę czynioną polskiemu ludowi, pragnęła szczęścia w ogóle, o sobie nie myślała. Sierota, pracująca na swoje utrzymanie, dotknęła już krzyża boleści, a objęta jego światłem miała miłość i przebaczenie dla wszystkich.

Ojca utraciła w dzieciństwie, matkę przed dwoma laty; utrzymywała się z szycia. Na pogrzebie matki spotkała po raz pierwszy Stanisława Romińskiego, który co dopiero objął posadę nauczyciela w sąsiedniej wsi. Odtąd spotykali się dość często już to w kościele, już to u znajomych. Dwie dusze ujrzały w sobie odbicie i pokochały się...

Gdy Romiński został przeniesiony w niemieckie okolice, łudzili się, że to może tylko chwilowo. Gdy jednak pobyt przedłużał się, młody człowiek czując w tem krzywdę narodową, zdecydował się na wyjazd do Ameryki.

Anna nie wiedziała o projekcie narzeczonego, to też, gdy go zobaczyła, była pewną,

że przyjechał na stały pobyt. Jakże okropnie się zmartwiła, gdy, zamiast nadziei rychłego złączenia usłyszała wyrok rozłąki. Wieścią tą była jakby ogłuszona, a przytem taki lęk objął ją o duszę narzeczonego. Tyłe sprzeczności słyszała o Ameryce, chociaż ufała w prawy charakter Stanisława, jednak niewytlómaczona jakaś trwoga ścisła jej serce.

Klęcząc teraz przed obrazem Marji Panny przyrzekała niebu duszę swoją za duszę Stanisława.

— Boże! — powtarzała w łkaniu, jeżeli Stanisław zapomni obowiązków Polaka katolika, na zadosyć uczynienie za jego występki, wstąpię do klasztoru.

— Marjo! Matko Boża! miej go w swej opiece!

— Jezu! niech krzyż Twój będzie mu drogą Zbawienia!

II.

W Ameryce.

Romiński, z przybyciem do portu, niepokojące myśli, jakie Anna swoim przeżuciem rozbudziła w nim, zostawił za sobą, rzucił je w ocean zapomnienia.

Obecnie nie można było roztkliwiać się, tylko wypadało zebrać całą przytomność umysłu i tą kierować się jak najrozważniej.

Ku wielkiemu zdumieniu, wszystko poszło łatwiej, aniżeli przypuszczał. Znajomych, którzyby go oczekiwali wprawdzie nie miał, atoli po załatwieniu wstępnych formalności przystąpił do niego dość miłej powierzchowności mężczyzna, ofiarując mu rodowitym językiem usługę.

Romiński spojrział trochę nieufnie, ale gdy ten kartą udowodnił, że jest agentem polskiego domu emigracyjnego, pod nazwą

św. Józefa, powierzył mu się z całą ufnością.

Przytułek emigrantów zrobił na nim niekorzystne wrażenie, tem więcej, że kazano sobie za wszystko dobrze płacić, a o ile wiedział poprzednio z polsko-amerykańskich gazet, ofiary na przytułek ten szły chojne. No, ależ dźwięk mowy ojczystej na samym wstępie do obcego kraju wart przecież coś; a opieka sióstr zakonnych, które nad przytułkiem tym miały nadzór, chyba także warta złota.—Romński miał trochę pieniędzy, więc nie żałował. Zapłacił za stację i stół i jeszcze na pokorną prośbę „siostry” dał osobną ofiarę. Agentowi też coś wcisnął w rękę by mu wyszukał dobre zajęcie.

Ale nie trafiało się nic stosownego, a że i pieniądze po trochu się wyczerpywały, przeto wypychano go gwałtem na farmy do stanu Illinois, gdzie w czasie tym robotnik był pożądanym i za pracę płacony lepiej, aniżeli w innych Stanach.

Nie było wyboru—musiał pojechać. Robota na farmie nie ciążyła mu. Przyzwyczajony był do niej w dzieciństwie; oprócz tego młody, pełen nadziei rwał się do wszystkiego. Nowe otoczenie zajmowało go wielce. Trzeba też było uczyć się koniecznie

najpotrzebniejszych angielskich wyrazów, więc o sobie nie miał czasu myśleć.

Po kilku jednakże tygodniach rozpatrzywszy się w swoim położeniu, pomimo, że farmerzy będąc z niego zadowoleni dogadzali mu, a nawet i siedemnastoletnia ich córka uśmiechała się do niego i powtarzała: „Joe you allright”—zateśknił do swoich.

Nie taki też przecież zakreślił był pierwotny plan swej pracy. Szerszego horyzontu dusza jego pragnęła. Tu nie mógł spotkać się z jednostką zwącą się Polakiem, a cóż dopiero z życiem narodowo-społecznem. To też, nie namyślając się wiele, po trzech miesiącach pobytu na farmie z pięćdziesięcioma dolarami gotówki, pojechał do pobliskiego miasteczka. Tam, z większą już pewnością siebie oglądał się za zajęciem.

W biurze stręczeń pracy, gdzie równocześnie zajmowano się wysyłką pieniędzy do Europy, sprzedawano karty okrętowe, wogóle udzielano wszelkich informacji; ponieważ mówił biegle po niemiecku, a po angielsku o tyle, że mógł z każdym się porozumieć, ofiarowano mu wakującą posadę klerka z płacą siedmiu dolarów tygodniowo.

Początek zatem był niezły. Praca dosyć odpowiednia, rodaków widział codziennie, chociaż po większej części z klasy robotczej,

ale zawsze swoich. Po miesiącu podwyższono mu pensję o dwa dolary.

Na widnokręgu życia Romińskiego zaczął wyłaniać się świt... A świt ten przybierał różową barwę miłości pragnącej słońca...

Więc nie zwlekał. Tęsknoty i oczekiwania słowa słał za morze, za góry, za lasy, po swoje słońce...

Dało znać listu promieniem, że idzie...

Dla Romińskiego zaczęły się dni radości i niepokoju.

— Żeby tylko morze przejechała szczęśliwie — powtarzał w myśli. — Wyjmował krzyżyk darowany mu przez nią, a który nosił na piersiach i kornie błagał Jezusa, aby dozwolił mu posiąść tę trochę ziemskiego szczęścia.

Wypełniając sobie czas, oglądał meble, które na swoje gospodarstwo zamierzał kupić, odgadywał naprzód co Anna na to i owo powie, widział ją w drzwiach ich mieszkanek—oczekującą jego powrotu, odczuwał jak mu szyję oplotła uściskiem. A potem przy stole przy wieczerzy ileż uwag, pochwał, śmiechu, wesela, i znów serdeczny, słodki pocałunek. I tak codzien... codzien przez całe, życie, zapatrzeni, zasłuchani w siebie, przejdą po ziemi w blasku miłości...

Romiński rojąc w ten sposób, tak wcie-
lał się w to swoje szczęście, że ani na chwi-
lę choćby najmniejszy cień wątpliwości nie
powstał w jego rozmarzonej wyobraźni.
A wreszcie choćby też i był jakiś cień na
jasnem ich niebie, młodzi przecież są, więc
marzył, że wszystko opanują, nawet chmury.

Żeby tylko już przyjechała. Dwa lata
odkąd ją znał, nie wydały się tak długie,
jak teraz te kilka tygodni.

Nareszcie, otrzymał z New-Yorku tele-
gram donoszący, że Anna 12 listopada bę-
dzie w Chicago.

Odetchnął. Więc jest już w Ameryce.
Pojechał natychmiast do Chicago, by ją
spotkać na dworcu.

O—ten czas oczekiwania!...

Zbliżyła się naznaczona godzina. Rozpa-
lona wyobraźnia Romińskiego widzi już zda-
ła zbliżający się pociąg, słyszy oznajmujący
go dzwon.

Skronie mu biją... rękami zaciska silnie
drgające serce...

Przecisnął się przez tłum, do żelaznej
bramki, kędy przepuszczają podróżnych.
Wpatruje się w przestrzeń... Nie! nie wi-
dać jeszcze... Ogląda się na zegar...

Godzina przybycia pociągu już przeszła...

W tej samej chwili słyszy donośny głos kolejowego urzędnika:

— Baltimore and Ohio train wrecked at Valparaiso, Ind.

— Wrecked? Co to znaczy wrecked? — Roztrzaskał się? Nie! — To musi znaczyć co innego... Pewno „opóźnił się”. Ale czemuż słyhać taki płacz wśród oczekujących?

Blady jak płótno mocując się ze straszną rzeczywistością, stał w miejscu nieruchomo jak słup.

— Czy pan czeka na Baltimore & Ohio pociąg—pyta go znów jeden z urzędników.

— Tak panie, ciśnie ostatkiem sił przez zęby Romiński.

— Pociąg ten uległ nieszczęściu, jest zdruzgotany—odpowiada urzędnik. Pasażerowie w wielkiej liczbie zabici i poranieni. Ambulanse i lekarze pojechali już na miejsce katastrofy.

Romiński zrozumiał całą grozę nieszczęścia, lecz ani jednym drgnieniem zewnętrznym nie okazał bólu, jaki mu szarpał duszę. Spokojny przeszedł do lamentującej gromadki, która tak jak i on straciła drogę osoby.—Chwytał każdy zboląły ton głosu, poił się widokiem łez. — To jego łzy, to je-

go jęki, — to obraz jego własny i aby zeń nic nie stracić, wpatrywał się weń chciwie.

Myśl, uczucie, wobec grozy bólu, wystraszone, skłębiły się i ukryły gdzieś w zakątku duszy, szarpiąc nią tak silnie, że straciła panowanie nad człowiekiem. Całkowitej ruinie człowieka oparł się tylko „mechanizm”, i ten instynktownie wypełniał go.

Nie wie kiedy i przez kogo dostał się na miejsce nieszczęścia. Tam na chwilę ożył nadzieją, iż może Annę znajdzie przy życiu. Gdy jednak nie znalazł jej ani między zdrowymi, ani między rannymi, zbliżył się z kolei do trupów.

Z zgniecioną czaszką i urwaną ręką byłby jej pewno nie poznał, gdyby nie krzyżyk na białej wstążeczce zawieszony na szyi, taki sam, jaki dała jemu.

Więc przyjechała do niego, była przy nim, a nie było jej.

Ciemno i pusto zrobiło się wkoło niego. Jego szczęście, jego nadzieja znikły na zawsze!...

Słońce, na które czekał nie weszło na ranny horyzont jego życia...

Automatycznie przesuwał się między ludźmi, automatycznie na stawiane pytania odpowiadał. Drgnął tylko żywiej, jakby większym bólem, gdy go ktoś zapytał — ile

żąda odszkodowania od kompanji kolejowej za życie Anny.

— Co śmiercią Anny miałyby się dorabiać? Ze wstrętem odrzucił daleko od siebie tę myśl.

Obojętny na wszystko, asystował pogrzebowi, obojętny, wziął się znowu do pracy.

W dwa dni po pogrzebie dostał list, który Anna pisała w Hamburgu w dzień odjazdu. List brzmiał:

Drogi Stasieczku!

Dziś wsiadam na okręt — gdyby nie dowiózł mię do brzegu, chciałabym z drugiego świata z Tobą pomówić. Pamiętaj ukochany, coś mi przyrzekał odjeżdżając. Mówiłeś, że Bóg, Ojczyzna i ja będą celem twego życia. Stasiu mój drogi! gdyby grób nas rozdzielił, nie potrzebujesz względem mnie dotrzymać obietnicy! ale względem Boga i Ojczyzny, przysięgnij na krzyż Chrystusa, że dotrzymasz. — Noś zawsze krzyżyk, który ci dałam w chwili pożegnania.

Twoja na zawsze

Anna.

Romiński który swoje nieszczęście dotąd znoślił z względnym spokojem, po przeczytaniu listu, wybuchnął głośnym płaczem, jak dziecko. Padł na kolana i trzymając w dło-

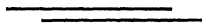
ni darowany krzyżyk przysięgał nań być wiernym Bogu, Ojczyźnie i Annie.

Miłość swoją do niego przypłaciła życiem, czyż mógł ją zapomnieć? Czyż mógł być nie wierny?...

.

Biedny niewolniku ludzkiego targu, nie przysięgaj ty! To co dziś mienisz być treścią twego życia, twoją jedyną własnością, jutro bezduszna rzeczywistość za kawałek chleba, lub inne przekonanie, kupi od ciebie —lub wydrze ci!...

Biedny niewolniku ludzkiego targu, nie kochaj ty nic, ani wierz w ideały, bo jeśliś ty uwierzył w duszę i przybrał ją w szaty marzenia i oddał jej pokłon—biada ci!!.



III

Łaska nieba.

Pomimo przysięgi i całej siły panowania nad sobą, Romiński chwilami wpadał w rozgoryczenie, wewnętrzną rozterkę i niechęć do życia.—Czuł bunt w duszy.

Nie mógł zrozumieć, jak Bóg, w taki sposób mógł powołać do siebie anioła — jakim bez wątpienia była Anna. Gubił się w domysłach, co uczynili oboje takiego, za coby tak okrutnie musieli być ukarani?

To znów gniewał się na siebie za podobne myśli, bronił się im, chciał się modlić a nie mógł... Chciał zapomnieć i bólu i wzbierającego mu w duszy buntu, a nie miał na to rady. — Gdzie rzucił okiem, wszędzie była Anna, albo skrwawiona, bezkształtna, jaką znalazł między trupami, albo

uśmiechająca się do niego — taka, jaką poprzednio sobie marzył...

Widma te, rozstrajały go okropnie, wyczerpując zupełnie. Tysiące razy powiedział sobie, że musi otrząść się z przeszłości, a pogodzić się z teraźniejszością, lecz tysiące razy, dręcząca go myśl wracała. I kto wie dokąd rozstrojenie takie by go było doprowadziło, gdyby nie—łaska nieba.

Pewnego dnia, do biura stręczeń pracy zgłosił się po człowieka do koni, polski ksiądz z niedalekich farm.

Ksiądz, jak każdy, żyjący bez troski o jutro ksiądz, miał w sobie spokój, zadowolenie i pewność, które tak łatwo opanowują słabszych i imponują im.

Romiński stęskniony za życzliwszem słowem, poił się dźwiękami mowy ks. Przygodzkiego. Po załatwieniu interesu, ujęty dobrodusznym wyrazem twarzy księdza, otworzył mu swą duszę.

Ksiądz nie żałował czasu, co tem więcej ujęło Romińskiego, i starał się wpłynąć uspokajająco na wzburzony jego umysł. Radził mu koniecznie udać się do spowiedzi. Wymógł nawet na nim tejsze przyrzeczenie.

Rozmową tą, Romiński został wielce pokrzepiony. Pół ciężaru spadło mu z duszy. Miła postać księdza zasłaniała trapiące go

widziadła, a te i owe słowa dźwigały chwiejącą się wiarę.

Nie zwlekając, jakoś w tydzień później przepytawszy o drogę do kościoła, gdzie ks. Przygodzki był proboszczem, bo tam a nie gdzieindziej chciał się spowiadać, znalazł się Romiński przed konfesjonałem a następnie na kawie w plebanji.

Po śniadaniu, ksiądz zatrzymał jeszcze Romińskiego na pogawędkę, z czego tenże niezmiernie był rad. Tyle przecież miesięcy łaknął lepszego towarzystwa, poczciwszego słowa...

Dobry ksiądz, nawet w potocznej rozmowie pamiętał o obowiązkach kapłańskich, a widząc jaki dobroczynny wpływ wywiera na nieszczęśliwego człowieka — nie szczędził swych uwag.

— Chrześcijaninowi—mówił — nie wolno rozpaczać. W każdym zdarzeniu musi widzieć wolę Boga i kto wie, czy nieszczęście jakie Pana spotkało nie zaprowadzi go do jakiegoś celu, do którego inaczej trudnoby ci było znaleźć drogę.

Romiński, — nawet poruszeniem ręki nie przerywał—poił się słowami, jakby źródłem natchnienia.

Ksiądz zauważywszy dobre skutki wymowy, ciągnął dalej:

— Pan mi wybaczy, że wtajemniczę się szczegółowo w jego położenie, lecz prosiłem mnie przecież o to, twierdząc, że to ci sprawi przyjemność; otóż chciałem się Pana zapytać, ile też kompanja kolejowa wypłaciła Panu odszkodowania?

— Nic nie chciałem, nic nie żądałem — odparł głucho Romiński.

— To panie źle. Pomyśl, po co krzywdę swoją kompanji darować?

— Księżę proboszczu, jabym tych pieniędzy nie mógł dotknąć.

— Mój panie, czyż koniecznie potrzebowalbyś obrócić je na swój użytek? Mógłbyś przecież oddać na dobroczynne cele...

Romiński otworzył szeroko zdumione źrenice, bo myśl ta poprzednio ani mu powstała w umyśle, — proboszcz zaś ciągnął dalej:

— Nieboszczka Anna tak raptownie zeszała ze świata, że wątpliwość zachodzi, czy była w stanie łaski Boskiej uświęcającej; wypadaloby zatem okupić spokój jej duszy.

Romińskiemu przemknęło przez głowę, że Anna bez spowiedzi pewno z domu nie wyjechała, ale nie zrobił głośno tej uwagi, tylko słuchał i patrzył w księdza, jak w nieba objawienie. Podniecony, a raczej uduchowiony co dopiero odbytą spowiedzią,

był jakby w ekstazie błogosławionych i każde słowo księdza ryło mu się w duszy wyrokiem Boga. Okoliczność zaś ta, że kościół był pod wezwaniem św. Anny, nabierała znaczenia niemal cudu.

Ksiądz mówił jeszcze przez czas jakiś na temat łaski Boskiej uświęcającej, a kiedy zwolnił zbawienną wymowę i odetchnął chwileczkę, Romiński wyciągnął z kieszeni portmonetkę, w której leżały odłożone pieniądze na jego i Anny gospodarstwo, wyjął z niej pięćdziesiąt dolarów, podał księdzu i pokornym głosem rzekł:

— Wstydzę się, żem dotąd nie pomyślał o duszy Anny, niechaj ks. proboszcz weźmie dwadzieścia pięć dolarów na mszę za jej spokój, a dwadzieścia pięć na kościół, jako okup na wyjednanie łaski Bożej.

Życzeniu jego stało się zadość.

Ksiądz zapisał ofiary, ale mimo to, z dobrego serca radził jeszcze upomnieć się o odškodowanie.

Romiński jednak stanowczo oświadczył, że sprawy tej zaniecha, a za duszę Anny, lub też na jakiś datek do kościoła, póki zdrów jest—zarobi.

Ksiądz uściskał mu serdecznie dłonie, nazwał pocziwcem i polecił pamięci kościół św. Anny i plebanję.

Rozpromieniony i lekki na duszy powrócił Romiński do pracy. W całym zdarzeniu widział wyraźną łaskę nieba. Nie wątpił, że Anna dlatego ukazywała mu się poprzednio, ponieważ żądała jego pomocy, a może i jego samego chciała naprowadzić na drogę spokoju.

I rzeczywiście coraz większy spokój wypełniał mu duszę — przeświadczenie spełnienia obowiązku wypogadzało ją.

Co kilka tygodni zachodził do kościoła św. Anny i plebanji, a zawsze zostawiał ofiary. Opłacał się niebu za spokój i dobrze mu tak było.

W ten sposób przeszło kilka miesięcy.

Bogu służył wiernie, pod tym względem sumienie mu nic nie wyrzucało, ale dla ojczyzny, oprócz tego, że czytał polskie gazety—zresztą nic nie uczynił.

Wzdychał sobie przeto czasami za czemś, coby wypełniło tę drugą połowę duszy, coby zrównoważyło daną przysięgę na krzyż Chrystusa.

I oto te same dobre czyny względem Boga, naprowadziły go na drogę patriotyzmu polskiego w Ameryce.

Któregoś dnia, takiego sobie szarego, zwykłego, gdy słońce rozkapryszone schowało się za chmury, nie zostawiając nic na

widnokregu coby się dało ująć w ramki poezji, ani też niebo nie odznaczało się niczem, z czego by można czerpać natchnienie, gdy ziemia jak zwykle kręciła się w kółko niepostrzeżona, gdy ludziska za chlebem lałali jak szaleni, przewracając i potracając się nawzajem, gdy Romiński uspokojony zupełnie, zaczął też już z jakąś pewnością siebie spoglądać na drugich, zajęchał przed ofis, gdzie pracował, „buggy” ks. Przygodzkiego.

— No, jakże panu idzie? — zagadnął ten ostatni po przywitaniu.

— Chwała Bogu, a ks. proboszczowi dzięki jakoś nieźle—brzmiała odpowiedź. Tęskno tylko za swoimi, ale serdeczne dobre słowo ks. proboszcza starczy mi zwykle na kilka tygodni, a gdy mi go brak, idę się znów on naprzykrzać.

— Słuchaj pan! Młody jesteś, chyba nie myślisz tutaj całe życie się zagrzebać; szkoda twoich sił.

— Myślę ja o tem często ks. proboszczu, ale nie wiem, gdzieby się wyruszyć.

— Czy pan umiesz grać na organach?

— Umie! I na organach i na skrzypcach.

— Gloria! Z niebaś człowiek! Takiego właśnie potrzeba nauczyciela i organistę na parafję tuż przy Chicago. Będziesz bliżej patriotów, a więc i zbawienia Ojczyzny — śmiał się, znający tutejsze stosunki,—no, co przyjąłbyś?

— Ksiądz proboszcz chyba od Boga zesłany, iżby mi ułatwiał trudną drogę mej pielgrzymki w Ameryce. — Czy przyjmuję? Lece, choćby dziś.

— Jak pan chcesz, to możesz i dziś. Tutaj jest list, z tym zgłoś się do miejscowego księdza, a jutro będziesz dudnił na organach i w mózgi dzieci kładł a. b. c.

Romiński podziękował z głębi wdzięcznego serca — i gotował się natychmiast do drogi.

Dusza unosiła się na skrzydłach radosnej wdzięczności ku niebu. Widział wyraźny znak łaski Bożej; więc choć mu słońce nie zaświeciło w zaraniu, dziękował Bogu za to, co otrzymał. Modlił się za Annę, bo ona to przecież zgotowała mu tę drogę... Marząca wyobraźnia leciała naprzód, do szkoły — gdzie będzie wszczepiał zasady religji i miłości ojczyzny, i do kościoła, gdzie przy dźwiękach organów będzie śpiewał Bogu chwałę.

O — biedny niewolniku ludzkiego targu, nie strój się ty w szaty marzenia... Nie dla tych, którzy duszę w sobie czują — szczęście na ziemi.

Przysiągłeś na mękę Chrystusa iść prawą drogą,—męka Chrystusowa wieść cię nią będzie...

IV.

Nadzieje nowego życia.

Wchodzimy — do rzęście oświetlonej i wspaniale polskimi i amerykańskimi chorągwiami udekorowanej—hali.

Wesoła uroczystość widnieje z każdego kącika.

Estrada z malowniczymi widokami na ścianach—upiększona wieńcami i bukietami z kwiatów bzu i jaśminu, robi wrażenie czarowanego przybytku. Silny zapach kwiatów odurza zmysły i wprowadza przybywających gości w stan przyjemnego, marzącego oczekiwania. Do nęcącej tej całości dodać jeszcze wypada dźwięki muzyki, które w połączeniu z barwną dekoracją i wonią wiosennych kwiatów, dotykają błogiem uczuciem duszy człowieka i unoszą ją z sobą

w sfery marzenia, ukazując jakieś nowe życie.

I zaiste taki a nie inny był cel obecnej chwili.

Wszakże to dzień 3-go Maja, dzień ważny w dziejach Polski, dzień, który był zwrotem ku wyzwoleniu się ze starych niewolniczych przesądów, dzień w sercu każdego Polaka wyryty nadzieją swobody!

To też pamiątkowe obchody dnia tego, mają w sobie charakterystyczną cechę owej marzącej nadziei lepszej przyszłości jaką bez wątpienia ojcowie nasi przy ogłoszeniu Konstytucji 3-go Maja 1791 r. odczuwać musieli, i—czem rzeczywiście dla narodu akt konstytucji się odznaczył.

Wiosna nowego życia zadrgała w łonie naszej ojczyzny, zlała się z wiosną przyrody, i tę, odczuwa dziś jeszcze nieszczęśliwy duch Polski nawet zdala od swego ciała... Odczuwa i w pamiątkowej wiosnie — narodowej—epoki—czerpie nowe życie.

By uczestniczyć w tak ważnym akcie gromadnie zbierają się polskie sieroty na podobne zebrania, więc i hala, do której weszliśmy, wypełnia się polską wiarą po brzegi.

W przednich rzędach krzesel, widzimy kilku dobrej tuszy duchownych, obok nich,

nie ustępując pierwszym w rozmiarze, trzech aptekarzy, i znaczną liczbę zamożnych obywateli; dalej panny i panie w barwnych lub białych strojach, wyróżniające się jak kwiatki na łące, a wreszcie z najeżonymi wąsami i czuprynami w wytartych ubraniach, ścis-kających w twardych dłoniach kapelusze, spracowanych, łaknących serdecznego słowa, tchnącego miłością Ojczyzny — robotników.

Pod samą ścianą, jakby w obliczeniu na dodatkową klasę ludzi, stoi kilka krzeseł i na jednym z tych spostrzegamy — Romińskiego. Z starszym od siebie mężczyzną prowadzi ożywioną rozmowę:

— Przyznam się koledze — mówi Romiński — nie spodziewałem się spotkać tu na obczyźnie między Polakami, tyle patriotyzmu.

— Tak, — odpowiada nazwany kolegą. — W kraju naszym nie mają pojęcia, ile my tu pracujemy, aby się nie wynarodowić. Cieszę się, że kolega przybył dziś na nasz obchód; u was, jeśli się nie mylę, zapowiedziany jest na niedzielę.

— W niedzielę rzeczywiście przypada — odpowiada Romiński. Sam, wystąpię z mową, a dzieci przysposobiłem ze śpiewami i deklamacjami. U nas brak odpowiednich sił do występów.

— Kolega będzie miał sposobność ocenić nas tutaj. Na brak sił nie możemy się skarżyć. Dziś, spodziewam się wyróżnieni będą: skrzypek pan Kręcki, uczeń konserwatorium muzycznego w Chicago, i z solowym śpiewem panna Regina Malska, moja uczennica. Jeżeli u was brak sił, zaprosz ich pan do pomocy. Poznam pana z niemi na balu, jaki się odbędzie po obchodzie, bo zostaniesz się na nim—nieprawda?

— Choćby tylko dla zrobienia znajomości—zostanę.

— Kolega mi wybaczy ale muszę iść przygotować jeszcze to i owo, — zobaczymy się zatem na balu.

Romiński pozostawiony sam sobie oparł się wygodnie o poręcz krzesła i puścił swobodnie wzrok i myśl po dekoracji hali i gościach. Przegląd ten, w wyczuwających piękno duszą — Romińskim, wzbudził zachwyt i wprowadził go w stan miłego marzenia... Ale widać Romińskiemu wszędzie, gdzie duszą dotykał piękna, przeznaczonem było, by ohydna rzeczywistość urągała. I tak: w chwili, gdy myślą hołd składał Polakom w Ameryce, którzy mimo tysięcy mil oddzielających ich od ojczyzny, potrafią czuć, myśleć po polsku i budować ołtarz niekrwawych poświęceń, w chwili takiej zachwyt ten zo-

stał gdyby wichrem stargany. Uszu jego bowiem doszła prowadzona, przez dwóch siedzących opodal mężczyzn, następująca rozmowa:

— Widziałeś ślepego Antka? Biały krawat psiakość wsadził na usmoloną koszulę; pewno myśli, że mu to doda patrijotyzmu.

— A Kurzeja widzisz? siedzi ze swoją starą, nadymają się oboje jak nadęte pęcherze, bo ich Manusia będzie dziś na obchodzie polką.

— Ha—ha—ha a to co? Łysoń na estradzie obrany za przewodniczącego?

— Co dziwnego, zeszłego roku jak otworzył salon i było trzeba dać się ludziom poznać, to się wkręcił z mową, a teraz buduje halę, bo dla interesu wypadało być przewodniczącym. Pamiętasz, jak mówił zeszłego roku na obchodzie?

— Czy pamiętam? A któżby takiej mowy nie pamiętał? Rozkrzyżował ręce i krzyknął: Bracia Polacy, trzymajmy się kupy; ja przy was, a wy przy mnie—razem nie zginemy! Polska się ostoi jakem Łysoń! My ją zbawimy!

I pomógł mu do interesu patrijotyzm, słyszałem, jak po obchodzie, rozczuleni patrijotniki mówili do niego:—Łysoń ty z nami a my z tobą, a Polska musi być! Chodźta

wiara, wypijemy u Łysonia na Polski zbawienie! A no i oblewając ono zbawienie wódką i piwem, dorobił się fortuny. Słyszałem, buduje wspaniałą halę. Frymarczy każdy na świecie swoim przekonaniem, gwo-li interesu, jak nabiąłem na targu.

— Słusznieś powiedział, ale więcej jest takich co nie mają przekonania żadnych, jeno dla dolara poświęcą głowę i nią szafują. Fałsz i obłuda wszędzie na świecie.

— Ciekawym, gdzie prawda siedzi?

— Skryła się pewno chudzina gdzie u biedaków w ciemny kątek, żeby jej bogaty „zły pan” nie znalazł. Ale gdy przyjdzie jasne słońce i oświeci wszystkie ciemne kątki ziemi, pewno ją wtedy ujrzemy.

Na Romińskim rozmowa ta zrobiła głębokie wrażenie. Wiała od niej ogromna, aż rażąca prostota, a jednak przebijał w niej promień prawdy. I to takiej nagiej, nędznej prawdy, że koniecznie chciało się ją gdzie wepchnąć i ukryć. Ale nie miał czasu zastanawiać się, czy naga prawda miałaby rację bytu w ludzkim świecie, czy nie, gdyż obchód się rozpoczął.

Przewodniczący, o którym tylko co słyszał, kręcił się wprawdzie jak piąte koło u wozu, ale reszta dawała sobie radę nadspodziewanie.

Program wypełniali: ks. proboszcz z mową, występ szkolnych dzieci, kościelny chór, gra na skrzypcach pana Kręckiego, przy której Romiński od ciemnego kącika prawdy, posunął się o cały łokieć do jasnego nieba sztuki, a następnie śpiew panny Reginy Malskiej.

Panna Malska, dziewica około dwudziestu lat, o kruczych włosach, śmiałym spojrzeniu, zdrowej, pięknej cerze, zgrabnej figurze, już zewnętrznym wdziękiem przykuwała widzów do siebie. Wszystko to jednak było niczem w porównaniu do uroku, jaki rzucała na obecnych swym głosem. Romiński, uniesiony poprzednio grą Kręckiego o łokieć nad ziemski poziom, teraz podniecony czarownym głosem dziewczyny, wcieślał się w dźwięki muzyki, w zapach kwiatów, w barwę kolorów i odurzony kaskadą nowego światła, wchodził w krainę ducha... złudzeń...

Zadźwięczały struny duszy dotknięte głosem czarnobrewy.

Nie wiele, ile czarodziejskich bram za nim przeszedł, bo czyż zachwyty boskiej sztuki da się obliczyć?

W dalszym ciągu obchodu, były jeszcze jakieś mowy, deklamacje, ale wszystko to,

mniemaniem Romińskiego było niczem w porównaniu do śpiewu panny Reginy.

Na balu został. Znajomości zrobił wiele! Pannę Reginę ze śpiewem, a usłużnego kolegę z mową, zaprosił na niedzielny obchód i rozpromieniony, powrócił do domu.

Uwaga „nagiej prawdy” z ciemnego kącika ani raz nie przyszła mu na pamięć, bo i któżby tam o takiej nędzy myślał...

Piękno zaczęło się uśmiechać wszędzie do niego... piękno... sztuczno-twórcze piękno...

I czemużby nie miał wyciągnąć doń ramię. Toż chmury i słoty były aż dotąd na horyzoncie jego życia...

Więc marzył błogo i przez następnych kilka dni.

Po niedzielnym obchodzie, na który zaproszony kolega z sąsiedztwa i panna Regina stawili się, Romiński wpadł w szczególny stan ducha.—Nic dziwnego, był to przecież czas wiosny, gdy natura cała drży miłością, więc nastrój taki mógł i Romińskiego podobnie nastroić.

Patrząc na zieleni dokoła, na igrające promienie słońca, słuchając ptaszków świergocących, Romiński odczuł w sobie wiosnę, a z nią prawo do wszystkiego, co daje życie.

Był przecież młodym, więc chociaż Annę kochał tak, jak się kocha raz tylko, nie-

możebnem wprost było, by serca uczucie, a z nim siebie całego przykuć do grobu. Na stanowisku zresztą, na jakim był, jako żonaty, miałby większe zaufanie ogółu i mógłby nań wywierać większy wpływ.

Posada jaką obecnie zajmował, nie była wprawdzie jedną z najlepszych, ale stanowiła spokojny punkt oparcia. Ksiądz go lubił ludzie szanowali, brakło tylko towarzyski życia...

Ponieważ panna Regina podobała mu się,— zaczął ją przeto bacznie obserwować.

Wiedział, że tkliwej miłości, jaką miał dla Anny, żadnej kobiecie dać nie może, ale miał do dyspozycji honor i prawy charakter i ten zamyślał ofiarować tylko tej paninie, którejby był pewny, że potrafi go ocenić i nie skazić. — Wszystko co jeszcze obecnie posiadał, chciał oddać wybranej kobiecie za jej cześć i zalety.

Panna Malska cieszyła się sympatją całej okolicy, już to dla osobistych wdzięków, już to dla czarującego głosu, a była pierwszą śpiewaczką w kościele, a wreszcie dla ładnej fortunki, reprezentującej się w pięknym murowanym domu.

Romiński za majątkiem nie gonił, a ze

wszystkich powyższych zalet przemawiała za panną najwięcej pracowitość.

Gdy straciła ojca przed trzema laty, jakies tam czterysta dolarów pośmiertnego włożyła z matką w dom, postarała się o miejsce buchalterki (podobno bardzo dobrze płatnej) i w ten sposób spłacała dług domu i utrzymywała matkę i siebie.

Romiński przebywając coraz częściej w towarzystwie panny, coraz więcej przymiotów w niej odkrywał, coraz bliżej widział ją wymarzonego ideału kobiety, aż obawiając się, by w szybko lecących marzeniach nie zamieniła się w postać nieuchwytnego anioła, uchwycił ją pewnego dnia za rękę i prosił nieśmiało, by podzieliła z nim pielgrzymkę życia.

Nie dała stanowczej odpowiedzi, aż dopiero po dwóch tygodniach, które wiekiem zdawały się być oczekującemu. Ale gdy się wypełniły dni oczekiwania — wyrok zapadł szczęśliwy.—Został przyjęty.

Romińskiego doszła wieść, jakoby przed rokiem Regina była w zapowiedziach!—nie wtajemniczał się jednak w to. Jeżeli krył się w tem jakiś dramat, tem lepiej dla obojga. I na jego życiu była bolesna skaza, więc oboje zadraśnięci, prędzej się zrozumieją.

Postanowił nie zwlekać, tylko odrazu wejść na drogę nowego życia.

Był to zresztą czas wakacji, czas wolny od szkoły, a zatem mógł się oddać swobodnie nowemu szczęściu.

W połowie lipca dano na zapowiedzi.

V.

W przededniu złamanej wiary.

Mamy dzień duszny, gorący; jeden z tych piekących, jakimi zwykle początek sierpnia nas darzy.

Panna Regina w grubym negliżu, z rozpuszczonymi zwojami hebanowych włosów, siedzi na niskim krzeselku, w swoim dziewiczym pokoiku, zapatrzona myślą gdzieś w dal—dostępną tylko jej samej. Splecione dłonie bezwładnie spoczywają na kolanach, a twarz obleczona wyrazem rezygnacji w połączeniu z dozą hardości, domyślać się każe, że piękne dziewczę przekracza granicę świadomości i, że postanawia sięgnąć po owoc wiadomości dobrego i złego.

Do pokoiku przez szczelnie zasłonięte okno nie wchodzi ani nawet ukradkiem smuga światła, więc półcień mieniący się

zielonym kolorem od zasłon okien, podnosi kusząco piękną tajemniczość.

To westchnienie wyrywa się z ust dziewczyny, to śmiałe, stanowcze błyski ukazują się w źrenicach, a wszystko razem nasuwa przypuszczenie, że dziewczę, tocząc z sobą walkę, decyduje się na coś stanowczego.

— Reniu! Czyś się ubrała? Romiński lada chwilę nadejdzie; godzina już czwarta,— odzywa się łagodny głos z drugiego pokoju.

Renia nie słyszy pytania, czy może nie chce odpowiedzieć, bo ani drgnie.

— Reniu, czyś zasnęła?—odzywa się ten sam głos po chwili.

— Nie! — odpowiada krótko i z tym samym wyrazem zamyślenia podnosi się, idzie do stojącego pod ścianą stoliczka, otwiera album i uporczywie wpatruje się w jedną z fotografii.

Bez najmniejszej zmiany w twarzy, zamyka znów album, splecione dłonie zakłada na głowę i stoi w miejscu jak posąg z kamienia.

Ewa, dla której piękności wąż w dowód hołdu oddał tajemnicę „boskiego owocu”, nie mogła być piękniejszą od Reginy, uwydatniającej w tej pozie wszystkie swe wdzięki. I pewno w takiej a nie innej postawie

stała Ewa przed drzewem bosko-szatańskiej tajemnicy, objęta pokusą dotknięcia owocu.

Regina tem się tylko różniła od Ewy, że na bosych nóżkach miała żółte pantofelki, na biodrach króciutką haftowaną białą spódniczkę, a na piersiach luźny koronkowy, głęboko wycięty staniczek. Przepyszne czarne sploty spadały na obnażone ramiona.

— Dziewczyno! jeszcześ nie ubrana? — mówi wchodząca matka, kobieta lat średnich, bardzo miłej powierzchowności.

— Zaraz się ubiorę! — odpowiada Renia.

To mówiąc, zbliża się przed lustro i zaczyna upinać krucze włosy.

Matka, usiadła na biegunowem krześle i kołysząc się lekko, mówi:

— Tobie coś do Romińskiego nie pilno, ty go tak wyszykujesz, jak zeszłego roku Gęsickiego.

— Niech się mama nie kłopoce. Tym razem danego słowa nie cofnę. Z Gęsickim było co innego.

— Ciekawam co? Gęsicki, ładny chłopiec, a dwuakrowa farma z pięknymi budynkami i całym zagospodarowaniem warta kilka tysięcy. Romiński porządny człowiek, ale gotówki pewno nie wiele ma. Zresztą Gęsicki był wychowany tu w Ameryce tak

jak i ty, więc jednakowo patrzelibyście na świat.

— Mama wie jedno, a ja drugie — przerwała, uśmiechając się, Renia. — Z Gęsickim musiałabym była pozostać na farmie, a Romiński ma widoki przenieść się do naszej parafji, więc będę mamy bliżej. Czy to mamę nie cieszy?

Mama z uwielbieniem spojrzała na córkę, która ukończyła przez ten czas fryzurę, wciągnęła ażurowe pończoszki i kładła na siebie białą muślinową suknię.

— To ty naprawdę dbasz o matkę? A ja od czasu jak ten dom kupiłyśmy, posadzałam cię o brak przywiązania. Tak się jakoś zmieniłaś.

— Co mama chce! Ojciec umarł, zaczęłam pracować, kłopotać się... Musiałam przestać łąsić się mamie... Wyrastałam z dziecinnych nawyków...

— No, dobrze już, dobrze! Ale powiedz mi też, miły ci on jest ten Romiński?

Gdyby nie był miły, nie wyszłabym za niego. Ot, widzi mama, szykuję mu niespodziankę. — Sięgnęła z komody niewielką kopertę, z której wyjęła małych rozmiarów swoją podobiznę.

— Dasz mu ją?

— Dziś z pewnością!

— Doskonale wyglądasz, masz tę samą suknię na sobie, którą dziś włożyłaś.

— Chciałam się tem lepiej mu przypodobać.

— To i dobrze. Jak już postanowiłaś wyjść za niego, to umilaj mu godziny. Widzisz moje dziecko, przedślubny czas to powinien być jasny jak niebo o wschodzie; przyjdą później i słoty i wichry i burze.

— Ciekawam, w czem mama dopatruje się we mnie chęci zerwania — przerwała Renia potoczystą wymowę matki.

Nie usłyszała wszakże odpowiedzi, bo głos dzwonka rozległ się w mieszkaniu, a za chwilę matka i córka witały w przyległym pokoju—Romińskiego.

Po wzajemnem wypyтaniu się o zdrowie, utyskiwaniu na gorąco, mama zostawiła młodych samym sobie, a podążyła do kuchni przygotować chłodny poobiedni posiłek.

Panna Renia usiadła do fortepianu, uderzyła kilka akordów, wywołała tęskne tony i—zaśpiewała pieśń miłości...

Romiński był w siódmym niebie, czas leciał jak na skrzydłach.

Po skończonym śpiewie gawędzili sobie o potrzebach przyszłego ich mieszkania, jako też o przygotowaniach na wesele, które było naznaczone za tydzień. Oboje

zgodzili się na to, że nazajutrz Romiński przyjedzie wcześniej i pójdą oboje zrobić niektóre zakupna.

Mówili sobie jeszcze „pan i pani“, więc Romiński całując każdy paluszek jej ręki, błagał, aby go nazywała imieniem.

Na to panna Renia wysunęła się z pokaju, a za chwilę weszła z dopiero co pokazowaną matce fotografią, na której z odwrotnej strony było napisane: „Mojemu Stasiowi“.

Stasio przypadł znów do rąk i byłby może się posunął do buzi — gdyby mama w tej chwili nie oznajmiła była podwieczorku.

Posiliwszy się cokolwiek, usiedli na werandzie, temperatura bowiem gorąca tak się podnosiła, że w domu niemożliwym było oddychać.

Romiński co chwilę wyjmował z portfela fotografię i patrzył to na kopję, to na oryginał.

— Czy pan tak zawsze będzie robił? — zapytała Renia.

— Zawsze! — odpowiedział pewny siebie Romiński.

— Przez ciągle wyjmowanie podobizna wnet się wytrze—robi uwagę Renia.

— Oprawię i pokryję ją szkłem — decyduje prędko Romiński.

W ramce nie będziesz pan przecież nosił przy sobie, osadź lepiej w zegarku — do rzuciła panna.

Czy powiedziała to umyślnie, wiedząc czyją fotografię nosił, czy przypadkiem, tego się nigdy Romiński nie dowiedział.

Miał piękny, złoty zegarek, kupiony z pieniędzy odłożonych na gospodarstwo z Anną. Po nieszczęsnej katastrofie kupił go i na wewnętrznej ścianie umieścił fotografię Anny.

Na zrobioną propozycję ból ścisnął mu serce. Prędko go jednak opanował i zorjentował się w sytuacji. Renia przecież w życiu jego zajęła miejsce Anny, więc miała prawo postać swoją zakrywać rysy tamtej.

Po małej chwili przykrego milczenia odpowiedział:

— Trafną jest rada pani — zastosuję się do niej.

— Jaki Stasio jest dobry—rzekła, tytułując go imieniem, jakby na podziękę lub też w nagrodę.

„Stasio” dotknięty tem mile, odwzajemniając, zawołał żywo:

— Reniu, każde twoje życzenie będę się starał wypełnić.

— Trzymam cię za słowo; więc zaczniesz od tego, że podobiznę moją jutro przywiesz w zegarku.

— Stanie się! — rzekł krótko Romiński.

Potem omawiali jeszcze plan wesela, zmieniali to i owo w jego programie.

Duszące gorąco dokuczało niezmiernie nawet i na werandzie. Migające zaś bezustannie błyskawice rozstrajały siedzących. Nie były to błyski zapowiadające burzę, tylko jeszcze gorętsze jutro.

Rozmowa zaczęła się urywać. Romińskiego, może od błysków, może od gorąca, może od ofiary spełnienia — rozboleła głowa. Pożegnał zatem panie z zapewnieniem stawienia się jutro o 2-jej po południu.

VI.

Stanowcza godzina.

Jak lunatyk siedział w karze, jak lunatyk wrócił do domu. Myśl przytłoczona ciężarem bólu, spoczywała całą drogę odrętwiona—jak we śnie.

Dopiero po powrocie zbudziła się i zerwała, by wrzeć obawą i buntem.

Dotąd on tylko jeden patrzył w tajniki swego serca, on tylko jeden dotykał jego rany, a czynił to tak, by jej nie rozkrwawić. Ale teraz, tajemny ten przybytek otwiera tej, która imię jego nosić będzie, podzieli z nim dole i niedole, więc będzie miała prawo dotykać rany jego duszy.—Czy uczyni to ostrożnie?...

Z opartą głową na dłoni, żegnając przeszłość, gotując się w przyszłość, — patrząc w lube obrazy ubiegłej wiosny życia, to ma-

rząc o kwiatach przyszłości — siedział bez ruchu do godziny 12-jej.

Rozlegający się donośnie w ciszy nocnej dźwięk kościelnego zegara przywołał go na chwilę do rzeczywistości.

Echo godziny dwunastej zbudziło dziwny obraz w jego duszy: Wszystkie fazy życia, całą męczarnię ducha ujrzał w jednej chwili. Zrozumiał! To własne mary snuły się przed nim!—To była północ jego życia.

To, co dotąd nazywało się dziś, musi zostawić wspomnieniu wczoraj — bo „jutro” choć nieznane jeszcze—domaga się już miejsca.

Wyjął zegarek, a gdy za dotknięciem sprężyny spotkał się z łagodnym obliczem Anny, wpatrzył się weń jak w konar odarty już z liści, który po raz ostatni chroni od spiekoty—i zadumał się boleśnie.

Znów widma przeszłości, jak mary nocne, stawały przed nim...

Rozumiał, że stanowcza to godzina jego życia... Umierał dla świata przeszłych marzeń, a rodził się dla nieznanego przeznaczenia jutra...

Rzeczywistość pchała go naprzód, więc przechodził duchem mękę konania i bóle rodzenia.

Szamocąc się z sobą wpadał stopniowo

w stan odrętwienia, gdy uszu jego znów doszedł dźwięk zegara, wybijającego godzinę drugą.

Dał słowo Reni, że jutro zajmie ona miejsce w zegarku.

To co wczoraj nazywało się „jutrem”, obecnie już było „dziś”.

Oprzytomniony godziną, spojrzał ku oknu. Świt jeszcze nie obejmował ziemi, ale ciemne obłoki zamieniały się już w szarą bezbarwną masę.

W oddali dał się słyszeć turkot wozu. To rychły farmer wioził na targ swój produkt.

To co wczoraj dojrzało, dziś idzie na targ...

— Niechaj ciemność nocy pokryje mój występki — westchnął Romiński i szybkim ruchem wyjął fotografię Anny.

Włożył natychmiast w próżne miejsce Reginę, zamknął zegarek i zaczął chodzić szybkimi krokami po pokoju.

Co raz to doszedł go nowy turkot farmerskiego wozu, co raz to usłyszał nową godzinę, coraz to szerszy wyłaniał się świt.

Z chłodnym porankiem chłodniejsza rozważa go objęła — spokój powracał do duszy.

Zapуścił zasłонki na okna i zabierał się do spoczynku.

Uklęknął przy łóżku, krzyżyk darowany przez Annę z poszanowaniem przycisnął do ust i posłał w niebo modlitwę, na jaką tylko dobra, uczciwa dusza zdobyć się może.

Ze spokojem ułożył się do snu.

Śpij choć chwilę spokojnie, biedny niewolniku ludzkich idei, bo straszne będzie twoje człowiecze przebudzenie.

Spał do godziny dziesiątej. Wstał z ciężką głową i myślą naznaczoną krzyżem.

Śnił Annę taką, jaką ją znalazł między trupami, gorzej nawet, bo śnił ją bez głowy. Po krzyżyku na białej wstążeczce domyślał się, że to była ona; — ale krzyżyk cały był zbroczony krwią.

Wmawiał w siebie, że sen ten, był wynikiem poprzedniego dnia wypadków, a jednak jakiś zabobonny lęk brał nad nim górę. Przypomniawszy sobie, jak matka jego nieraz powiadała, że śnić krzyż lub krew jest znakiem ciężkiego zmartwienia; a on śnił jedno i drugie.

Nie tknął nawet śniadania. Zaniepokojony myślą wciąż się wpatrywał w krwawy krzyż Chrystusa.

Dwunastą w południe zegar wybijał, gdy szepnąwszy:—tak będzie lepiej,—zjął z siebie cenny krzyżyk.

Trzymając go w jednej ręce, a w drugą wzięwszy fotografię Anny, rzekł półgłosem:

— Anno! Nie chcę, by czyjakołwiek ręka dotknęła drogich mi pamiątek. Krzyż Chrystusa, dany mi twą ręką, a któremu przysięgłem wierność niczyja dłoń, ni oko nie dotknie.

Wyjął z szuflady skórkową rękawiczkę, wyciął z niej skrawek skórki, włożył weń krzyżyk i fotografię Anny, zawinął szczelnie i przymocowawszy do tego wstążeczkę, ukryty przed ciekawym okiem skarb zawiesił napowrót na piersiach.

Zasłona zakryła świętą przeszłość.

VII.

Huragan.

Punktualnie o godzinie drugiej Romiński przybył do narzeczonej. Na samym wstępie otworzył zegarek, aby stwierdzając oznaczony czas przybycia, udowodnić równocześnie dotrzymanie słowa względem fotografii.

Regina dnia tego przymilała mu się bardzo, a zauważywszy niezwykłą bladłość na jego twarzy dopytywała troskliwie o zdrowie.

Zapewnił, iż oprócz bólu głowy nic mu nie dolega.

Poszli za sprawunkami. Przypuszczał, przechadzka zrobi mu dobrze.

Wrócili o godzinie szóstej, powietrze było ciężkie, duszne można było na pewno w nocy spodziewać się burzy. Romińskiemu od upału, niewyspania i przebytej męczarni, ból głowy dokuczał coraz

silniej;—starał się jednak znosić go spokojnie. Po kolacji usiadł nawet do fortepianu, ale zamiast „Witaj, majowa jutrzeńko”, czem chciał przypomnieć Reni ich pierwsze spotkanie, zagrał pogrzebowy marsz Chopina.

Renia skoczyła do fortepianu, oderwała mu rękę od klawiszy, dała klapsa przez ramię i zajęła jego miejsce. Grała bez przerwy naprzemian jedno po drugim różne wyjątki z oper.

Uwolniony od bawienia narzeczonej, siedział spokojnie, a towarzysząca im mama—bujala się w biegunowem krześle.

Było w pół do dziewiątej, gdy Renia przestała grać.

Spojrzała z współczuciem na okropnie zmienionego narzeczonego i rzekła:

— Jedź Stasiu do domu wypocznij, a jutro daj znać, jak się czujesz.

Podziękował za troskliwość i chętnie poszedł za radą.

Do rogu ulicy, gdzie trzeba było czekać na „karę” było zaledwie kilkadziesiąt kroków;—oddzielały tylko trzy zwykłe domy, plebanja i kościół.

Renia prawdopodobnie powodowana troskliwością i niepokojem, odprowadziła Stanisława do rogu; czem wzruszony uczuł znacz-

ną ulgę w bólu. W dowód wdzięczności okrywał jej ręce pocałunkami.

Czekając na „karę”, stali pod rozłożystymi drzewami, któremi cała ulica była wysadzona.

Ośmielony czułością i troskliwością Reni, przygarnął ją do siebie, a gdy na jego „czy można”, nie zaprzeczyła, wpił się spragniony w jej usta.

„Kara” nadchodziła...

Dziewczyna wyrwała mu się z objęć, skinnieniem ręki zatrzymała „karę”, czem zmusiła Stanisława do odjazdu.

Upojony pocałunkiem, zapomniał zupełnie bólu głowy.

Przejechał był już dwie ulice, gdy szukając na opłatę jazdy pieniędzy dotknął w bocznej kieszeni—paczki, którą jeszcze wczoraj z polecenia swego proboszcza miał doręczyć proboszczowi tejże parafji. — Wczoraj z całą historją zegarka i fotografii — paczkę oddać zapomniał, a dziś wobec tkliwości Reni i rozkoszy, jakiej przed chwilą skosztował, czyż można było o czemkolwiek pamiętać?

W własnym zaś jego interesie leżało, aby z księdzem P. się zobaczyć, gdy bowiem dawał na zapowiedzi, ksiądz nadmienił, że prawdopodobnie od Września zajdą w jego parafji zmiany,—pytał, czy przyjąłby waku-

jąca posadę nauczyciela. Ponieważ proponowana posada przynosiła znacznie większy dochód aniżeli ta, którą miał obecnie, przeto czuł się z propozycji tej nader uszczęśliwiony.

Spojrzał na zegarek, a przekonany, że jest dopiero zaledwie kilka minut po dziewiątej—postanowił wrócić.

Niebo wprawdzie było zasepione, jakby miało wybuchnąć gniewem czy też łez skargą, ale spojrzawszy nań uważniej, miał niemal pewność, że wstrzyma się jeszcze czas jakiś z wylaniem swych uczuć.

W nadziei, iż Renię zastanie jeszcze tam, gdzie ją zostawił, przyspieszył kroku. Siła pierwszego pocałunku, przypuszczał, przykuła ją do miejsca.

Jednak nie było już jej tam. Zmierzył przeto prosto do plebanji, Dzwoni! Dzwonek o ile mu się zdaje, nie jest w porządku, bo nie słyszy dźwięku wewnątrz domu. Ciśnie jeszcze raz elektryczny guziczek dzwonka—nikt nie wychodzi. Próbuje drzwi—są otwarte. Jeszcze raz dla pewności ciśnie sprężynę—nikt się nie zjawia. Puka w drzwi—żadnej odpowiedzi.

Wchodzi do sieni; drzwi do kancelarii na rozcież otwarte, wchodzi dalej, siada na krzeselku i czeka. Dochodzi go jakiś szmer,

a wkrótce daje się słyszeć odgłos kroków. Te cichną w przyległym pokoju, gdzie przez uchylone drzwi widzi mrok.

Chciał pociągnąć krzeselko, by dać znać o swojej bytności, gdy naraz, doszedł go jakby jakiś znany głos. A potem już wyraźnie słyszał:

— To i cóż, że idziesz zamążyć; przecież i potem możesz tak samo przychodzić tu jak poprzednio...

— Ale może to i grzech — odpowiada melodyjny dobrze znany mu głos.

Na to w miejsce odpowiedzi, usłyszał przeciągły pocałunek, który piorunem go zelektryzował, śmiertelny cios w duszę mu zadał.

Zawrzał! Porwał się jak burza!

Rozwarł na rozcież drzwi i, skoczywszy jak lew zraniony na barki uwodziciela—powalił go na ziemię.

Piekło w nim wrzało. Silny był, jak sam bóg zemsty.

Ksiądz charczał z wysileniem wołając pomocy.

Renia, zorjentowawszy się szybko w położeniu, stała już przy telefonie przywołując policję. Po załatwieniu się z telefonem, wzięła kubek wody i wylała na walczących; ale gdy to nie poskutkowało, chwyciła za

kij i dzielnie nim okładała leżącego na wierzchu Romińskiego. Osłabiony razami utracił siłę, z czego korzystając powalony — wydarł się. Zanim Romiński zdołał się za nim w ciemności obejrzeć dwoje drzwi od przeciwległych pokoi zamknięto na klucz. Spostrzegłszy, że jest w pułapce, szalał jak zwierz dziki. Wszystkiem co mu tylko weszło pod rękę, walił we drzwi. Pokój przedstawiał widok zniszczenia.

Po niejakiem czasie, usłyszał nadjeżdżający wóz przed plebanję, a następnie wchodzących kilka osób do kancelarji, a potem taką rozmowę:

Ksiądz: — Siadajcie panowie, opowiemy w krótkości co tu zaszło. Mężczyzna którego trzymam do usługi, wyszedł był przed godziną w odwiedziny do krewnych. Siedziałem sam w kancelarji odmawiając brewiarz, gdy naraz, nie oznajmiwszy się ani dzwonieniem, ani pukaniem, stanął przedemną młody człowiek, którego poprzednio znałem cokolwiek z widzenia, a przed dwoma tygodniami poznałem bliżej, gdyż dał u mnie na zapowiedzi. Zaczął mnie nagaływać o posadę nauczycielską. Powiedziałem mu łagodnie, że chwilowo nic stanowczego w tej kwestji orzec nie mogę, a gdy ten stawał się dziwnie natrętny, zaniepokojony

całem jego zachowaniem, jako też szczególną bladocią i osobliwym wyrazem twarzy, wyszedłem, by się przekonać, czy służący mój wrócił. Zaledwie przestąpiłem próg drugiego pokoju, młody człowiek skoczył za mną, powalił mię na ziemię i gdyby nie pomoc tej dzielnej panienci, pewno by mię był zabił.

— Ach—mój Boże!—mówi panienka — toż to mój narzeczony. Wczoraj i dziś podczas wizyty u nas dziwnie się zachowywał,—a był taki blady!... Odprowadziłam go do „kary” i widziałam przecież, że odjechał. Jest tak duszno, więc przechadzałam się pod drzewami... A gdy uszu moich doszedł jęk z plebanji, nie namyślałam się ani chwili, wbiegłam żywo, a widząc, że zbrodnia się dokonuje zatelefonowałam na policję, a następnie uwolniłam księdza proboszcza z rąk na pastnika.

— Bóg ci to nagrodzi — dokończa mdlejącym głosem ofiara.

Romiński wobec takiej ohydy— sam przestał być człowiekiem. Z wściekłością zwierza rzucił się na drzwi.

Krwi!... Krwi!... wołała dotknięta sromotą cała istota. Gdyby zbrodniarzy dostał w ręce, pewno by ich żywo nie puścił.

Drzwi pod nadludzkiem wysiłkiem pękły, ale w tej samej chwili, czterech policjantów schwyciło go i wpakowało do patrolu.

Nie szamotał się już więcej. Czy powietrze podziałało, czy wysiłek go osłabił, bo dziwna — osobliwa cisza wypełniła go... Każdy odgłos końskich kopyt, każdy krok przechodniów, na które w innym czasie nie zwróciłby był wcale uwagi, teraz, tak wyraźnie słyszał, i tak się w nie wsłuchiwał, jakby te odznaczały się czemś szczególnem,

Niebo, ubrało się w czarną ciężką szatę i zaczęło płakać i buntować się. Upuściło kilka grubych łez na ziemię, wysłało raz i drugi błyski gniewu, zamruczało jakąś groźbę i gotowe było ryczeć i trzaskać wszystko co mu stanie w drodze.

Romiński widział i słyszał dokładnie każdy objaw gniewu przyrody, a potakując mu w myśli, wybijał palcami na kolanach takt pogrzebowy marsza Chopina. Wszakże w duszy jego dokonywał się pogrzeb z druzgotanych nadziei. Więc objaw wzruszonej przyrody znajdował w nim odgłos podobny uczuciu, z jakim słuchamy grudek ziemi sypiących się na trumnę drogiej osoby.

Nie zdawał sobie sprawy z tego co robił, ale widocznie instynktownie odczuwał, że dusza przenosiła się w inne sfery, w inny

krąg myśli. Zabita gwałtownie huraganem zbrodni, wstępowała przedwcześnie—z jękiem i skargą w inne światy, inne fazy marzenia, Własna tragedia, szalejąca przyroda, dźwięczący tą samą nutą marsz Chopina, zlały się w trójcę nowego testamentu — przyszłej jego wiary.

Siedział niemy, nie stawiając żadnego oporu nawet wówczas, gdy spostrzegł, że zajęli przed budynek policyjny, ani też nie stawiał opozycji, gdy zaryglowano za nim drzwi więzienia.

Burza na dworze w szale swoim dochodziła szczytu grozy. Stanął przy zakrągowanym oknie, patrzył w ciemność, oświetlaną tylko od czasu do czasu błyskawicami i—płakał.

Po gwałtownym wybuchu w plebanji, uspokoił się—może tylko na chwilę...

Podobny był przyrodzie, która również to wybuchwała groźbą, to cichła roniąc łzy, to buntowała się w sobie. Stał niemy, bezsilny, w obec burzy, jaka nad głową jego się zerwała, a jedyną oznaką odczucia jej były łzy.

W chwili takiego huraganu, nikt nie jest w stanie uchwycić myśli ludzkiej, bieży ona szybko jak błyskawica i mgnieniem ukazuje się to tu, to tam na widnokręgu tajemniczych zagadnień. Nie możemy więc na

pewno określić, o czem w tej chwili myślał Romiński.

Stał długo nieporuszenie bez odczucia siebie. Może w błyskawicznym locie myśli dotknął prawdy żywota... Może w chwili śmiertelnej walki dokonywał się cud odrodzenia...

I gdy tak zatracony dla siebie zda się już chwycił wążek prawdy żywota, już wchłaniał w siebie jego zarodki, doszedł go tak jak i wczoraj o tej porze głośny dźwięk godziny dwunastej. Znow machinalnie sięgnął po zegarek. Lecz gdy zamiast słodkiego oblicza Anny spotkał śmiały wyzywający wzrok Reginy, cała hańba, krzywda, upokorzenie, zakipsiały w nim nową lawą wybuchu. Cała dokonana ohyda zemstą piekła znow w nim zawrzała. Pocałunek, który niedawno rozkoszą rozpałał mu żyły, teraz piekł go wstydem i męką.

Czyż sromota ta zatrze się kiedy w jego pamięci?...

A więc będzie usuwać każdy przedmiot, któryby mu ją przypomniał. Oderwał zegarek przyczepiony do kamizelki i rzucił nim kilka razy o ścianę usiłując potłuc na drobne kawałki. Co mu po nim ręka świętokradzka sprofanowała go i nie ma dlań oczyszczenia.

Na hałas, jaki zemsta nad sprofanowanym zegarkiem spowodowała — wbiegło dwóch dozorców. Gdy spostrzegli dosyć kosztowny zegarek potrzaskany, a więźnia w silnym podnieceniu, ostrzeżeni poprzednio, iż z warjatem mają do czynienia, związali mu ręce, grożąc jeśli się nie uspokoi — przywiązaniem do krzesła.

Biedny Romiński pojął teraz co o nim sądzą, w obawie więc gorszych dla siebie następstw, zachował się spokojnie; w następstwie czego, po godzinie uwolniono mu ręce z pętów.

Na drugi dzień, zjawił się u niego lekarz, zbadał puls, a na twierdzenie więźnia, iż jest zdrow, kiwał tylko głową. Szczatki rozbitego zegarka leżały jeszcze na podłodze; zapytał go obcesowo, dla czego go rozbił?

Romiński sądząc, że ma do czynienia z człowiekiem lepszych instynktów — powiedział:

— Panie, zapytaj się wpierw, za co się tu dostałem, a nie będziesz się dziwił dla czego to uczyniłem. Proszę, przyślij mi pan adwokata, chciałbym się z nim porozumieć, aby jaknajprędzej być wypuszczonym na wolność.

Lekarz znów ujął go za rękę i badał puls.

— Dobrze panie odpowiedział—ale przede wszystkim potrzebny jest panu spokój, przewieziemy pana w stosowniejsze dla niego miejsce. I nie czekając co powie na to więzień, wysunął się z celi.

Teraz dopiero Romiński zaczął zastanawiać się nad sobą i wszystkie wypadki zestawiać w porządku.

Uprzytomniwszy sobie co ksiądz i Regina zeznali przed policją, nie miał najmniejszej wątpliwości, iż traktują go jako warjata. Nie widział na to innego sposobu, tylko zachować się spokojnie, aby jak najprędzej wyjść z otchłani bezprawia. Więc gdy w godzinę później trzech policjantów przyszło i kazali sobie towarzyszyć, uczynił to bez żadnego oporu. Był pewny że idzie na salę sądową, tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu kazano wsiąść znów do patrolu. Na zapytanie, objaśniono go, iż jadą do szpitala. Po dość długiej jeździe stanęli rzeczywiście przy wielkim gmachem.

W pierwszej chwili Romiński sądził istotnie, że znajduje się w szpitalu, dopiero po niejakiś czasie, gdy doszły go okropne wrzaski i różnego rodzaju śmiechy, domyślił się, że jest w domu obłąkanych.

Więc aby poznać całe bezprawie ludzkie jeszcze i to musiało go spotkać?

Znów zaczął odczuwać bunt, ale wnet się pomiarkował, że z siły zła w jakie się dostał, może się wydobyć tylko rozsądkiem i mocą panowania.

Trzeba było być lepszym od zła, nie dać złu w sobie ani odrobiny jego odbicia. Tem tylko mógł je zwyciężyć...

Może to zarodki prawdy, które wziął na się w chwili... huraganu, zaczęły już kiełkować.

VIII.

W mroku.

W dwa tygodnie po wyżej opisanych wypadkach, widzimy Romińskiego o zmierzchu dnia, siedzącego w swoim dawnym pokoju, gdzie tyle błogich rojeń wypełniało, rwące się do miłości życie. Przed nim na stoliku leży otwarty list, a on sam zda się nieświadomy, i otaczającego go mroku, i nawet samego siebie, błąka bez celu myślą w nieznannej atmosferze życia, podobny atomowi nie znającemu swej drogi.

Huragan zabrał mu wszystko co stanowiło treść życia,—zabrał mu miłość i wiarę. Zabrał światło ducha i zostawił w rozpacznej rozterce, w ciemnicy. Ale duch żyje. Znieczulony na razie ohydą i gwałtem, dźwiga się jednak i mimowoli przenosi w nieznanne światy marzeń. Błąka wśród

nich jak błędny ognik, ale pojmuje już nowego życia objawy. Zaczyna drgać pragnieniem światła i ruchu.—Chce żyć!

Ale jak? gdzie? w jakiej atmosferze?

Bezradny—na razie pragnie ciszy.

Zdaje mu się, że tę iskrę własnego życia widzi zapędzoną przez burzę w odludne stepy, gdzieś daleko, gdzie zbrodnia jeszcze nie doszła.—Że tam stawia ołtarz pięknu ducha i sprawuje ofiarę...

— Komu? zajęczało na dnie potępieńca.

— Bogu — szepnął w Romińskim może duch Anny.

Ale sprofanowane przez służę Bożego piękno w duszy Romińskiego — nie odczuło zagrobnego szeptu. A nawet jakby w obronie, zerwał się na równe nogi, wpatrzył w daleki ciemny nieba widnokrąg, na którym podobnie, jak na widnokregu jego myśli, zaledwie gdzie niegdzie błyszczała niepewna gwiazdeczka i z bólem wyrzekł głośno:

Boże ojców moich—który ciemnością, fałszem i rozpustą się otoczyłeś — idę precz od Ciebie! Z złamaną wiarą idę w słotę łąz moich, szukać drogą bólu — prawdy żywota. Złamana wiara w uczciwość Twych sług, zachwiała wiarą kościelną!

W słotę łąz moich, odarty z szat marzeń, osmagany hańbą przez wykonawcę Twej wo-

li—pójdę szukać Prawdy za murami kościoła, może świętszą ją znajdę.

Z temi myślami przeszedł się kilka razy po pokoju, zapalił światło, rzucił okiem na leżący list i znów pograżył się w zadumę.

List, który już czekał jego przybycia, był od miejscowego proboszcza, ze zwolnieniem go od dalszych obowiązków w parafji.

Romiński jeszcze w zakładzie obłąkanych postanowił był, skoro tylko wyjdzie na wolność, dochodzić swej krzywdy, a mianowicie nieprawnego uwięzienia go. Wobec wypowiedzenia mu posady zachwiał się w postanowieniu! — bo i czemu mógł dowieść swej niewinności? — Gwałciciel jego praw miał świadka w osobie Reginy, on nikogo. A że większość uwierzy tamtej stronie, najlepszy dowód w wypowiedzeniu mu miejsca.—Dwutygodniowy pobyt w domu warjatów, chociaż uznano go zdrowym na umyśle, także przemawiał na jego niekorzyść. Wszędzie go spotka upokorzenie i podejrzenie.

Zerwać z całą przeszłością i wyjechać jak najdalej biło myślą w skołatanej głowie. Dalej od miejsca zbrodni, dalej od własnych myśli, dalej od ślepej wiary przeszłości.

Zaczął zbierać rzeczy. Napotkał jeszcze kilka pamiątek po Annie, ale się już nad niemi nie roztkliwiał. Wobec hańby i bó-

lu, jaki nim szarpał, widmo Anny i wszystkie związane z nią wspomnienia, blademi się wydały.

Zrywał z przeszłością: to, co niegdyś wypełniało jego istotę, roztkliwiało ją i stroiło w szaty piękna — rzucał na dno niepamięci.

Nie objęty ideałami — wolny duch — gotował się w drogę boju — po prawdę żywota!...

Jakby na potwierdzenie tej myśli zerwał ze szyi ukryty skarb wspomnień, dołączył do innych pamiątek i rzucił razem na dno kufra.

W kilka godzin później, gdy zegar wybił mistyczną godzinę północy, Romiński siadał w pociąg, udający się do Kalifornji.

W początku podróży, przymknawszy oczy, nie myślał o niczem innem tylko o łaskocie lokomotywy i jej rozmachu. Pragnąłby pędzić tak dalej i dalej bez końca. Ale gdy w okna wagonu zajrzało ciepłe słońce, gdy podróżni, podziwiając cuda południowej natury — zaczęli robić głośnie uwagi, wyjrzał też na świat Boży i Romiński. Jednakże piękno kaliforniejskiej przyrody nie zbudziło w nim podziwu, — nie potrafiło przemówić do tonącego w bólu człowieka. Ono świadczyło o życiu promieniejącem miłością,

a życie Romińskiego odarte było z miłości, odarte nawet z jej aluzji. Przemocą zamykał oczy, wsłuchiwał się w łoskot maszyny, w świst pary, prującej czyste powietrze i w dysharmonji tej znajdował ulgę. Lecz poruszone przyrodą myśli, choć uciekały od niej, zaczęły jednak w koło niej wirować. Więc mimowoli zaczął porównywać krajobraz do widoków ojczystego kraju. Ale i tu doznał rozczarowania. Najwspanialsze palmy niczem były w porównaniu z płaczącymi wierzbami i brzozami. Stęskniona, zboleła dusza tuliła się wyobraźnią pod ich cienia. Gdybyż choć na chwilę postyszał szelest ich gałęzi, odetchnął ich wonią, napoił oczy ich zielenią; o — pewno! ukoiłby ból, wypłakałby łzy, uciszył zbuntowaną duszę. O! bo tam w kraju, wszystko takie dobre, serdeczne, takie kochane, takie mówiące o tem co dusza czuje.

Oderwał się na chwilę od własnego cierpienia, a utonął cały w wspomnieniach ojczystych. Żywiej mu nawet zapłonął wzrok gdy rozbijała wyobraźnią ujrzał ukochaną ojczyznę, jak siebie samego odartą z przeszłości piękna, shańbioną przez tych, którzy sterem jej ducha kierować mieli.

Biedny niewolnik ideałów, zrzucił z siebie jedno pęta, a zacieśniał silniej drugie...

Śnij jeszcze trochę, bo jeszcze mrok cię otacza, jeszcze do świtu daleko...

IX.

Świt.

Upłynął rok, a rok ten, nie tylko jednostkom i rodzinom, ale całym masom ludu szczególniej roboczemu, dał się we znaki. Zastój fabryczny spowodował ogólne bezrobocie, ogólną nędzę. To też tłumnie wyjeżdżano z powrotem do starego kraju, lub łudząc się nadzieją, że „tam dobrze, gdzie nas niema” przeprowadzano się do innych miast. Fatalny kryzys, nie wyłączając żadnego ze Zjednoczonych Stanów — dotknął też i Kalifornję.

Romińskiemu aż dotąd szczęście względnie sprzyjało. Wprawdzie, zajęcie w fabryce, nie przyzwyczajonemu pracować fizycznie wydawało się krzywdzącem, ale bądź co bądź było stałe, mieszkał zresztą wśród polaków, więc godził się z losem żyjąc biernie z dnia

na dzień — jak nakręcona maszyna. Obumarły duch przywalony fizyczną pracą węgutował gdzieś na dnie człowieka, poddając się machinalnie temu lub owemu z czynników.

Do takiego stanu przyczyniło się niemało otoczenie socjalistów wśród których dostał się od samego początku przybycia i z którymi przeważnie obcował. Teorie ich, chociaż nie leczyły chorego ducha, ale słabego opanowywały i chwilowo porywały za sobą.

Chwilowo tylko, gdyż Romiński był na wskroś idealistą. Dusza wyrywała się w sfery marzeń po za granicę realizmu, któremu socjaliści hołdują.

Nie umiał on zdać sobie z uczuć swych sprawy, złamany na duchu nie dźwigał się sam, ale raczej poddawał biernie drugim.

Czasami tylko, któryś z ideałów najczęściej patriotyzm, szarpnął się na dnie człowieka jestestwa, ale uspokajał go co żywo narkotykiem przebytego bólu.

Na rozumowania w kwestjach społecznych, na jakie często socjaliści wyciągnąć go chcieli aby szerszemi pojęciami wygładzić mu blizny i dać nieco zapomnienie samego siebie—nie dał się wziąć.

Dla starych ideałów powoli zamierał, a nowym bronił dostępu.

Nie pogłębiając się na razie w idee socjalistów, garnął się jednak do nich; wytrwałość ich imponowała mu. — Bywały jednak chwile, że cała ta rzesza robiła na nim wrażenie żelaznej maszyny, pędzącej wśród cichych pól i lasów—świszczącej dysharmonicznie aż pod obłoczne błękity. Przyznawał jej po trosze rację bytu, widział korzyść z niej, jeno że idąc jej śladem, nie mógł ani na chwilę oderwać się od ziemi, nic nie widział jeno żelazne szyny i tłoczący się po nich ogniem ziejący potwór. A duch jego pragnął bujać w przestrzeni, kapać się w blasku słońca i okrywać gwieździstą szatą nieba.

Tak pragnął niegdyś, a teraz, o ile gwałtowniej zacierał dawnych marzeń obrazy — o tyle gwałtowniej wracały. Kłamiąc sobie, urągał im — biorąc na się maskę oziębłości. Ale uczucie żyło gorące, głębokie, przywalone i osłabione tylko przejściem huraganu.

Z marzeń niebotycznych zepchnięty siłą brutalną w zgrzyt fabryczny, skutury w łańcuch roboczy, zatracał ideały którym niegdyś przysięgał.—Były nawet chwile, gdy porwany nowych myśli prądem i on patrzył na

świat krytycznym okiem wyzyskiwanego robotnika; nie czuł jednak odpornej siły w sobie, by stanąć w szeregach walczących o wyzysk. — Dusza chciała jakąś świętą miłością, jakąś pogodną rozkoszą, jakiegoś ciepła promieniem objąć wszystkich ludzi, a nie tylko małą garstkę walczących o swe prawa robotników.

Gdy bezrobocie nawiedziło Los Angeles i tam, gdzie zajmowano sześć rąk — ograniczono się do dwóch, Romiński znalazł się także bez zajęcia. Ufny, iż kryzys wnet przejdzie, nie miał zamiaru wyjeżdżać. Za to oddał się głębokim rozmyśleniom; przeważnie zaś spędzał wolny czas na pogawędce z siostrą swego gospodarza — panią Kaszyńską — wdową, która, dotknięta chorobą płuc, całe dni przesiedziała na werandzie przed domem.

Była to kobieta około pięćdziesięciu lat, miła, spokojna, cicha. Brat kochał ją niezmiernie i dla niej wyjechał w cieplejsze strony. Przyjmowała ona wszystko ze słodyczą i ogromnym poddaniem się. W rozmowy, jakie często Romiński prowadził z domownikami nie wtrącała się nigdy.

Zdziwił się też nie mało, gdy po kilku dniach swego bezrobocia, siedząc z książką

na werandzie został przez nią w ten sposób zagadnięty:

— To pan przemocą chce zostać socjalistą?

— Przemocą nie, ale nie widzę, dla czego miałbym nim nie zostać — odparł zdumiony.

— Bo duch pana nie jest przejęty ich zasadami.

Spojrzał ciekawie na Kaszyńską, która zapatrzona w dal, z tajemniczym wyrazem twarzy — przedstawiała się dziwnie zagadkowo.

— Z czego pani to wnosisz—zapytał zainteresowany.

Popatrzała na niego jakby z litością i odrzekła:

— Wielem cierpiała na świecie, a z cierpień mych zostało się we mnie coś, co mi daje możność wglądania w duszę drugich. Nie ukryjesz się przedemną, młody przyjacielu. Ból nurtuje ci w duszy, niszczy w tobie żywotne siły, a ty słaby, poddajesz się podmuchom obcych prądów. Nie zdajesz sobie sprawy dokąd one cię wiodą, bo zresztą jest ci to obojętnem,—aby tylko oddalić się od przeszłości.

Romińskiemu wypadła książka z ręki, ale się po nią nie schylił, patrząc w skupie-

niu na Kaszyńską — jak na zjawisko. Gdy jednak milczała dość długo, zapytał cicho:

— Skoro pani wiesz tyle — powiedz mi, czy jestem na złej drodze? Czy socjalizm uważasz złym?

— Nic na świecie nie jest złe, podjęła — najgorsze zło ma tę dobrą stronę, że na tle jego odbija się dobro. — Socjalizm wywoła zupełny przewrót na świecie i z pewnością ma swoje wielkie przeznaczenie, ale nie zrobi nic nowego. Ta sama historia śmiechu i łez będzie na świecie, jaka jest i dziś. — Dziś płaczą robotnicy, a śmieją się kapitaliści, jutro będzie odwrotnie.

Ale ja myślę, że nastąpi przewrót z innych pobudek, bo idą już do boju życia ludzie nowi—z nową nauką, ci przyniosą światu prawdziwe odrodzenie.

Przestała mówić, przymknęła oczy i chwilę siedziała nieruchomo. Słońce, wciskając się przez liście okalające werandę, dotykało od czasu do czasu bladym zachodu promieniem całej jej postaci, czyniąc ją podobną do świętych niewiast z biblijnych kart.

Romiński nie spuszczał z niej oka, zadając sobie w duchu pytanie, co mówi przez tę kobietę? jaki dział życia zaprowadził ją na widnokreśli tych pojęć?

Po chwili otworzyła oczy i jakby nie widząc Romińskiego, patrzyła przed się w zamysleniu.

Podniecona ciekawość nie mogła znieść milczenia, przeto zrobiwszy trochę szelestu, schylając się po książkę — zapytał:

— To pani nie jest socjalistką?

— Jestem nią i nie jestem! Jestem, bo pragnę lepszej doli robotnika. Nie mało wśród ciężkiej niedoli gorzkich łez wylałam, abym nie miała pragnąć polepszenia bytu roboczych rodzin, których jestem krwią i kością. Ale też właśnie tym bólem zaszła tak daleko, tak wysoko, gdzie zapomnia się już swoje ja, a na ziemię wraca się się nie z zemstą i buntem, ale z miłością i przebaczeniem. Pan może nie uwierzysz, ale wśród najcięższej niedoli — przyszłe światy — przyszłą ludzkość widziałam, — duchem niebo na ziemi oglądałam.

— To pani pewno jest z tych, którzy duchy na ziemię sprowadzają i prorokują — przerwał trochę ironicznie Romiński.

— Nie! Duchów nie sprowadzam, choć wierzę w świat zagrobowy — ciągnęła dalej poważnie, ale jestem z tych, którzy wierzą w siłę ducha jednostkową czy ogólną. Wierzę, że ta siła ducha dokona odkupienia ludzkości. Wierzę, że duch miłości zmar-

twychpowstanie. *Wierzę, że przebaczenie zajmie miejsce sądu i wierzę, że w miejsce nienawiści nastąpi bratnie podanie dłoni. — W taki żywot wierzę!*

Znów, zamilkła, a Romińskiemu, nowym jakimś kolorem rysowało się w głowie nowe *wierzę*. Na chwilę utonął też w zadumie, ścigając wzrokiem duszy kreślony nowy świat...

Piękny on był — ale jakiś obcy; pierwszy to raz zajrzał doń i chociaż od starego pragnął uciec, trudno mu było zbliżyć się do nowego. Coś w nim brakowało... Zapytał też nagle:

— A w Boga pani wierzy?

— Nie wiem, co pan rozumie pod nazwą Bóg. Każdy określa Boga inaczej.—I domyślając się, że Romińskiemu brakowało w jej wierze Boga, ciągnęła: Zapytaj pan sam siebie, ażali jest tam Bóg, gdzie jest rozlew krwi? ażali jest tam Bóg, gdzie jest niesprawiedliwość? ażali jest tam Bóg, gdzie jest zazdrość? ażali tam jest Bóg, gdzie nie ma miłości?—więc skoro pragnę dobra i doskonałości na świecie, to chyba wierzę w Boga, boć wszędzie Go przedstawiają jako największe dobro.

I wolno, dobitnie dodała:

— Wierzę i pragnę, aby doskonałe dobro czyli Bóg, wcielił się w ludzkość!

— I dawno pani tak wierzy?

— Lata już całe. W początku trudno mi było oderwać się od starej wiary, ale gdy raz ujrzałam prawdziwe światło ducha, ono już dalej było mi drogą. — Pan daruje, lecz jestem tak zmęczoną, dziś więcej mówić nie mogę, ale jutro, jeśli zechcesz, opowiem panu moje pierwsze przebudzenie ducha.

Zakaszłała silnie i nie mówiąc więcej ani słowa—weszła do wnętrza domu.

Romiński zadumany długo jeszcze siedział, nie umiejąc zdać sobie sprawy, z tego, co słyszał. W jakim to świat nowych pojęć wchodził? Co za świat, co za ludzie na nim? A ten ich Bóg? Ażali to ten jest, którego przyrzekł sobie znaleźć po za murami kościoła?

Jakkolwiek dotąd zagłuszał w sobie głos starej wiary, urągając jej nawet, to jednak teraz, gdy zapędzony huraganem cudzych występków, znalazł się raptem na przełomie ducha — zatrwożył się...

Ślepa wiara którą z za morza przywiózł z sobą, choć pokryta zapomnieniem, w przeczuciu zraty — zadrgała naraz niespokojna; więc Romiński, nie pojmując jeszcze, że stoi

już na przełomie, że wchłania już w siebie nowe światło, cofał się w mrok, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty.

Świt nieznany — jakiś obcy kolor wdzierał się na czarny horyzont życia, a znękany niewolnik, lękając się nowej siły, zaczął stroskany bić w duszy pokłon staremu Bogu, wzywając Jego ratunku.

Odmówił dnia tego nawet wieczery, nie wdał się jak zwykle z domownikami w pogawędkę, tylko, w przeczuciu dziwnem, to patrzył w błady świt wyłaniający się na tle nowego życia, — to smutny, bezradny, jak mary nocne, pograżał się w cienie przeszłej wiary.

W łamaniu tem ducha zeszedł cały wieczór i dopiero ocknął się, gdy bijąca godzina dwunasta przypomniła spóźnioną porę. Ale też z pamiętną tą godziną, wszystkie widma, dręczące mu życie żywo w wyobraźni stanęły i całą siłą udręczeń szarpnęły mu ducha.

Zbudził się!...

Zbudził się, tuląc jeszcze drzemiącą myśl w mrokach przeszłości, to wystraszony upiorami bolesnych wspomnień, wpatrywał się z słabą nadzieją, w niewyraźne obrazy bladej terażniejszości.

Szamotał się z sobą w wewnętrznej walce, jak ongi w owej „stanowczej godzinie“, i tak jak ongi, tak i teraz świt już obejmował ziemię, kiedy westchnąwszy: — Boże ojców moich! broń mnie, bo światło, jakieś jasne światło, w duszę moją wnika, padł wyczerpany na łożu.

X.

Postanowienie.

Mimo wahania, obawy pogrążania się w ubiegłe mroki, Romiński na drugi dzień rano zajął jak zwykle miejsce na werandzie, obok pani Kaszyńskiej.

Nie odezwała się ona przez długi czas; twarz zaś wyrażała taką obojętność, jakby zupełnie zapomniała i wczorajszej rozmowy, i obietnicy.

Romiński spojrział na nią ukradkowo kilka razy, aż wreszcie znieczcierpliwiony długim milczeniem, zagadnął:

— Pani przyrzekła wczoraj jakąś opowieść...

— Chcesz pan słuchać?

— Jestem gotów!

Przymknęła oczy i głuchym głosem mówiła.

— Odkopię mogiłę wspomnień, wydobędę zeń zwłoki młodości, na których wybujalo nowe życie. Popatrz pan na nie, może jeśli dziś nie zrozumiesz przemiany odrodzenia, to kiedyś, gdy ciemność otoczy cię wokoło, gdy konać będziesz duchem, stanie przed tobą gromnicy światelkiem.

— Pani!—wyrwał się poruszony do głębi Romiński—i dziś ciemno przedemną.

To się tylko panu zdaje! Sam sobie czynisz mrok. Wtedy dopiero będzie ci ciemno, gdy zgasną dla ciebie wszystkie ideały. Ale i wówczas masz wyjście. Mężczyzną jesteś! Bądź silny! *Gdy wszystkie światła zgasną na twojej drodze, zapal sam w sobie nowe światło.* Ono nie tylko tobie, ale i tym, którzy pójdą za tobą, będzie gwiazdą przewodnią.—Gorzej jest słabej kobiecie, gdy do tego w takiej ciemności tuli się do niej istotki, którym dała życie, by je wieść ku światłu. A tu ni światła — ni ciepła...

Coś jak jęk wydobyło się przy tych słowach z jej piersi, a łzy jedna po drugiej spływały po twarzy.

Romiński szanując jej boleść, nie przerywał ani słówkiem. Gdy się cokolwiek uspokoiła, podjęła sama urwaną rozmowę:

— Byłam wychowaną bardzo religijnie, i w tem przekonaniu, że wszystko jak jest—

dobrze jest. Nie widziałam nigdzie zła. Wszystko pochodziło od Boga, a więc dobre było. Nie troszcząc się o nic, zostawiałam wszystko opiece Boskiej. Zresztą nie było czasu się troszczyć, dokoła miłość śmiała się do mnie, a ja czar jej odwzajemniałam.

Nauczona, że kobieta musi być podległą, pokorną i dobrą — z uległością i pokorą, w dobroci serca, przyjmowałam wszystkie przeciwności. Cierpiałam wszystko, co kobieta cierpieć może i poświęcałam wszystko co kobieta ma do poświęcenia. Ale, gdy przyszła w mem życiu chwila, gdy wyczerpana kilkudniowym głodem, napróżno błagałam o jakąkolwiek pracę, by uratować od głodu i śmierci siebie i troje maleńkich dzieci — zmieniałam się nagle.

Wieczność całą pamiętać będę ten dzień!

W progu za powrotem spotkałam brutalność gospodarza za nieopłacone mieszkanie. Tyle już razy poprzednio prosiłam o cierpliwość, że już wtedy nie wyrzekłam i słowa. Poddawałam się wszystkiemu, jak ofiara. Chwiejąc się, na wpół przytomna, zbliżyłam się do kwilącego w kołysce niemowlęcia.

Przygarnęłam dziecię do siebie, ale gdy z wycieńczonej głodem piersi, nie wydobyło ani kropli pokarmu i krzykiem, rozdzierającym moje serce, zrobiło mi wymówkę, po-

zrywały się we mnie, w niewysłowionej rozpacz, struny życia.

Grobu! grobu! wołały we mnie młodość, miłość... Grobu! domagały się zagasłe ideały kobiecego świata.

Ułożyłam dziecię w kołysce,—postąpiłam ku oknu...

O siedm pięter poniżej grób był pewny...

Myśl ta na razie wydała mi się zbawieniem dla mych dzieci.

Prędzej, prędzej! jęczało złamane życie, a prędzej znajdzie się ktoś, co dzieci nakarmi. Z ulgą w duszy, gotując się, dla ocalenia dzieci, na rozpaczny krok, skierowałam myśl moją do kraju—do różanych dni mej wiosny. Przed wyobraźnią zamajaczyły obrazy przeszłości, ciepło rodzinne, nauki matki. Tkliwość mnie ogarnęła, szłam za nią dalej aż dotkłam źródła, które łączy duszę z niebem.

Zapraǳnęłam modlić się!...

Wtem jak błyskawica przeleciało przez głowę:

— Modlić się? do kogo? — Do samolubnego ojca, który chce abym poświęciła i zostawiła wszystko, co było bliskie i drogie mi — dla Niego? Poświęcić siebie? poświęcić dzieci?—krew mej krwi — ciało mego ciała? —

O — nie! Ja, kobieta licząca zaledwie lat dwadzieścia trzy?

Zamarła we mnie dusza, ale krew powstawała buntem. Krew miała węzeł swój na ziemi i ten ciągnął ją tak silnie, aż wstrząsał każdą jej kroplą.

Nie! Nie! Nie zrobię więcej poświęceń Tobie Boże w niebie, którego nigdy nie widzę, nie wiem czy istniejesz? A możeś Ty tylko tworem imaginacji?

— Nie będę modlić się więcej.

Aby ratować krew mej krwi, ciało mego ciała—będę kraść, zabijać, będę grzeszyć; słyszysz Ty, Boże? przekroczę Twoje przykazanie, a Ty mnie karz, jeśli taka Twoja wola.

Z tem postanowieniem zdjęłam z palca ślubny pierścionek, jedyną wartościową, rzecz jaką w tej chwili posiadałam. Pierścionek ten, stanowił dla mnie podwójną wartość, gdyż była to stara familijna pamiątka. Zamierzałam zastawić go w lombardzie; dotąd nie byłabym się odważyła zastawić rzeczy, która była błogosławioną w kościele. Ale wobec co dopiero uczynionego postanowienia, nie dbałam o gniew Ojca w niebie. Przekroczyłam już granicę bojaźni grzechu.

Zastawiłam zatem pierścionek, za zdobyte pieniądze kupiłam dla siebie i dzieci po-

żywienie, a w dwa dni później dostałam za-
jęcie.

I odtąd, wytworzyłam sobie świat no-
wych pojęć—świat nowej religii. Przez udo-
skonalenie mego ducha oddaję cześć Bogu.
W duszy buduję mu świątynię. Odkąd
przyszłam do tego przekonania, żyję z sobą
w zupełnej zgodzie, nie przeraża mnie na-
wet blizka śmierć.

Ostatnie zdania Kaszyńska mówiła pes-
piesznie, czy ażeby prędzej dokończyć, czy
też podniecona innych światów myślą, czy
też może była już bardzo zmęczona, bo nie
spojrzawszy nawet na Romińskiego, obojęt-
na na wrażenie, jakie słowa jej wywarły
na niego—wbiegła do domu.

Romiński przez chwilę dziwnie wzruszo-
ny siedział w miejscu bez ruchu, nagle dla
zwalczenia napływających szybko myśli, się-
gnął przez otwarte okno po leżącą na stoli-
ku książkę.—Ale i tu spotkał w innej wpraw-
dzie formie, — lecz tę samą skarżącą się
duszę.

Była to zwykła broszurka, traktująca
o biednym wyzyskiwanem życiu robotnika,
pozbawionego opieki politycznej.

Po chwili czytania, w zamyśleniu zam-
knął książkę i zaczął rozumować.

— Tak, mają rację! Święta prawda jest z nimi, a jednak ta prawda nie znajduje we mnie dość silnego oddźwięku, by stanąć w jej obronie.

Przyznawał Romiński, że i on był pokrzywdzony, podobnież wykolejony, ale instynktownie odczuwał, że droga na której w niedoli spotkał się z tymi wydziedziczonymi—nie była jego drogą.

Ku innemu horyzontowi myśl jego w ciemności bezwiednie zmierzała.

Odłożył książkę, oparł łokcie o kolana i wsparłszy głowę na dłoni, bił myślą dalej w otaczających pojęć powłokę.

Nie dalej jak wczoraj, był na zgromadzeniu socjalistów gdzie również nowe światła na mroczną myśl padły.

Ale też o ile zrozumialszymi stawały się dla niego poglądy ludzi, z którymi żył, o ile więcej utwierdzał się w słuszność ich żądań, o tyle obawiając się zespolenia z nimi—radby był uciekać. — Zagnany burzą na nagie skały — duch, nie mógł znaleźć gleby dla swego pierwiastku. — Błąkał i szamotał się w rozterce.

Po chwili Romiński wstał, przeszedł się kilka razy wzdłuż werandy, oparł się o poręcz i gwizdząc przez zęby jakąś urywaną dumkę, patrzył przed się w zamyśleniu.

Uwagę jego niebawem zwrócił na siebie walczący opodal na trawniku—pies z kotem.

Twarz zwykle łagodna, mimo smętnej dumki, jaką świstem z siebie wydobywał, wyrażała w tej chwili hardość i, jakby i w nim jakaś walka się odbywała i brutalna siła w nią wstąpiła—bo: psiakrew, wszędzie wal-ka!—wyrzucił półgłosem.

Przeciągnął się następnie w dogrzewają-
cem słońcu, i pod wpływem nowego w tej
chwili postanowienia musiała zaniknąć w nim
dawna subtelność, bo splunął kilka razy
i, niemal z zadowoleniem, patrzył dalej na
rozgrywającą się u stóp jego tragiczną sce-
nę.—Głośne miauczenie kota, wzywające po-
mocy, nie znalazło w nim obrońcy.

— Broń się! zawołał raz tylko na sil-
niejsze mia-u-u!

— Broń się! szepnął następnie mimowo-
li do siebie.

Było już blisko południa, słońce dogrze-
wało coraz silniej. Coraz też to silniejsze
ciepło go brało i jakieś ciążoty do życia.

Rzucę wszystko do djabła! — myślał,
tak żyć nie można. Ta schorzała baba swo-
ją chorobliwą wyobraźnią nie porwie mię
za sobą, socjaliści też na swoją wiarę nie
nawróca.

Trzeba się wyrwać stąd! Tutaj będę wiecznie bezsilny. Tu nie mych dążeń i pragnień świat. Tu wśród tej garstki polaków nie ma żadnego narodowego celu.

W apatycznej dotąd naturze, zadrgało pragnienie ruchu i życia.

W broniącym się nowym wpływow umyśle zarysowało się miasto Chicago, za-barwiło się uczuciem patriotyzmu i jako takie trysnęło smugą nęcącej nadziei.

Echo doznanej hańby w okolicy Chicago przebrzmiało — myślał Romiński, tam wśród licznej Polonji znajdę ludzi, z którymi będę się mógł zespolic.—Pójdę! Tu z taką atmosferą pojąć trudno mi się żyć — Pójdę!

Nie odkładając powziętej myśli, natychmiast spakował rzeczy i jeszcze tego dnia o zachodzie słońca opuszczał Kalifornję.

Z chwilą ruszenia pociągu dziwny niepokój nim szarpnął, bo wyrzawszy przez okno spotkał zachód słońca takiż sam, jak ongi przy rozstaniu z Anną.

— Bierz licho przywidzenia! mruknął, i osunąwszy się w kącik siedzenia, zamknął oczy a wkrótce sen zwalczył broniącego się jeszcze słabym widmom—niewolnika.

XI.

Pierwszy dzień wśród swoich.

Było znowu pod wieczór, gdy Romiński po kilkakrotnem przesiadywaniu do „kary”, wypytywaniu, błędzeniu, dotarł wreszcie do rogu ulic Milwaukee i Noble w Chicago.

Już w śródmieściu zauważył jakiś osobliwy ruch i poważny nastrój, za zbliżeniem się zaś do polskiej dzielnicy, miał pewność że chicagowianie a zwłaszcza Polacy, obchodzą niezwykłą uroczystość. — Gdzie rzucił okiem wszędzie falujące sztandary, polskie barwy, biały orzeł, elektryczne łuki, tryumfalne bramy, a na nich polskie: Witaj — nam witaj!

Na stęsknionym Romińskim, który w życiu swem nie widział takiej bogatej dekoracji miasta polskimi kolorami, zrobiło to odurzające wrażenie.—Nie pytając dla kogo lub

po co, patrzył na to zjawisko narodowe, jak wryty. To, co wzbierało w głębi piersi przez czas osamotnienia, teraz, dotknięte narodowych uczuć prądem, zerwało wszystkie tamy, i okiem, sercem, duszą, płynęło za falą polskich barw, za falą polskich uczuć.

Zwilżonemi oczyma, z zapartym oddechem wchłaniał w siebie nowy polski świat na obcej ziemi...

Na ulicy Noble zaczęli się ludzie gromadkami skupiać, ale Romiński nie zwrócił na to uwagi, jemu starczyło — że oglądał...

Oglądał polskie sztandary, białego orła, polskie napisy, słyszał polską mowę...

Bezdomny tułacz, po kilku latach tęsknoty, oglądał „Polskę w zmniejszeniu“ i w prostocie ducha powtarzał słowa Symeona: — Teraz puść Panie sługę Twego w pokój.

Odetchnął. Zdawało mu się, że doszedł swej mety.

I gdy tak tonął duszą w narodowym niebie, — jakby dla spotęgowania wezbranych uczuć, zdala dochodziły coraz wyraźniej tony znanego marsza.

Każde polskie serce żywiej bije na dźwięk naszego ukochanego marsza, a w Romińskim

zadygotało tak silnie, że bezwiednie oparł się o narożny słup. Z silniejszym biciem serca iza zakreśliła się w oku, i, zbierając ją spostrzegł dopiero ogromny napływ ludzi na ulicy, a nawet i na siebie skierowane spojrzenia. Zauważył też, że wszyscy stają przy brzegu chodnika, z czego łatwo się domyślił, że oczekują na jakiś pochód. Postanowił wmieszać się w tłum i aby być świadomym znaczenia uroczystego objawu — zapytał przechodzącego młodego człowieka:

— Panie, jestem tu obcy, zechciej mnie objaśnić jaką to uroczystość obchodzą tu dziś Polacy?

Młody człowiek popatrzał na niego uważnie, poczem trochę drwiąco rzucił: — Uroczystość świętego darmożjada — i spiesznie go wyminął.

Niemile dotknęły Romińskiego rzucone mu ironicznie pierwsze polskie słowa w Chicago. Ale jakby na zatarcie niemiłego wrażenia, podszedł doń pocziwego wyglądu człeczyna i dobrodusznie objaśnił:

To oni darmożjady—te „czerwone juchy”, bo wszystkiego innym zazdroszczą. My panie przyjmujemy dzisiaj pierwszego polskiego w Ameryce biskupa—naszego katolickiego ojca.—Rano był wyświęcany, czy jak się tam nazywa, w katedrze na mieście, a teraz

my, Polacy urządzamy mu paradę. Niech no pan tu stanie nad brzegiem przy ulicy, to zobaczysz jak my się to pokazali przed obcymi. Oczy ci panie, ze zdziwienia na wierzch wyjdą.

Był też już największy czas zabezpieczyć sobie miejsce, bo tłum formalnie tłoczył się a i pochód już nadciągał.

Na czele, na pysznym rumaku ukazał się marszałek, konni adjutanci, konna policja z sztandarami polskim i amerykańskim. Dalej, pierwsza muzyka a za nią oddziały Związku Wojsk Polskich, sokoli, kawalerja, bractwa, cywilne towarzystwa i powozy z duchowieństwem i delegatami z prowincji. W pochodzie brało udział 20,000 osób.

Pochód był podzielony na sześć dywizji. Każda dywizja postępowała z muzyką na czele.

Gdy do rogu Milwaukee ave, nadciągli krakusy, stojąca obok Romińskiego kobieta zapytała drugą: — A wasz też jest w parady.

— Hale w parady!—odrzekła z goryczą pytana. Nie było czem palić, tak poszedł onegdaj na trekę na węgle, a że i na trece nie było ściągnął trochę z wagonu; ale go dopatrzyli stróże i zaprowadzili na policję—ta i siedzi teraz w parady...

— Mój też już ośm miesięcy nie robi — ozwała się na to inna kobiecina. Jagusia chorowała, trzeba było na mleko, więc sprzedałam uniform za połowę co kosztował mężowi mojej ciotecznej, bo mu akurat pasował, a wpisał się też do krakusów; do nich bieda jeszcze nie zajrzała, on robi i domostwo mają swoje.

— Ktoby się tam tak zaraz z biedą wy-dawał wyrwał się jakiś inny rezolutny głos: — Jak trzeba to trzeba! Ja zastawiłam ślubną suknię a kazałam Marcinowi do parady się dołożyć i pospólnie z Towarzystwem maszerować.

— Głupi narodzie, ozwała się na to inna białogłowa: Po co te parady?—Czyż to nie grzech? Kapuścińska zastawiła suknię, żeby jej mąż szedł pieszo, a pasibrzuchy za jej pieniądze żeby w powozach paradowali.

— A wy taka mądra, a przyleżliście się parady przypatrzyć? — odcięła się Kapuścińska.

— Przyszłam zobaczyć, ile też jeszcze głupich jest na świecie.

— Toż Polacy jesteśmy, powinniśmy się przy takiej uroczystości pokazać, jak na Polaków przystoi—zagaiła mizerna kobietka aż z trzeciego rzędu stojących, — ale co prawda w tych czasach, to aż grzech wydawać na ta-

kie zbytki kiedy naród głoduje. Mój też sześć miesięcy już nie robi i Bóg wie kiedy zacznie. Dali by te pieniądze na biednych, to by im większą chwałę przyniosło.

— Milczeć baby! huknął silny męski głos. To nie wasza rzecz mądrować, jakby lepiej było.

— A nasza! nasza! ozwało się naraz kilka głosów, i może, aby się tylko sprzeciwić, dowodziły: Skoro chłopci nie umiają rządzić, to my baby musimy.

— Głupieście wszystkie! Że do Związku Polek należą, to myślą, że już im o wszystkim wolno rozumować...

— A bo też tak! Możecie wiedzieć że Związek Polek mądrzejszy od waszych organizacji—zaczęły kobiety bardzo poważnie.

Sprzeczkę tę niebawem zagłuszył nadciągający nowy oddział muzyki, więc też i przez dłuższy czas nikt się nie odezwał.

Romińskiemu duszno zaczęło się robić wśród takiej atmosfery, to też nie namyślając się, spostrzegłszy wolne miejsce przy grupie młodych ludzi—skierował się tam.

W tym czasie nadciągnęła piąta dywizja, która zwróciła na siebie większą uwagę allegorycznie przybranym wozem. Na tronie bogatym widniała postać, przedstawiająca Polskę, a w około niej klęczeli ugrupowani

anieli. Zaprzężonych do wozu sześć koni prowadziło tyleż chłopców przybranych w starokrajskie siermięgi. Około wozu palono ognie bengalskie, które całości dodawały uroku.

Naraz jedna z pańienek stojąca tuż obok Romińskiego, zapatrzona w wóz jak w niebo, zawołała do towarzyszki:

— Mary! jabym też chciała być takim aniołem na wozie...

— Ażeby cię tak zawiózł do domostwa Tomka — dorzucił stojący przy nich młody chłopiec.

— Kiejdy! wyrwała się druga — czy ty myślisz że w niebie tak jest, jak na tym wozie?

— Nie! odpowiedział znów ten sam chłopiec, bo w prawdziwym niebie są chłopcy i dziewczęta, a tu na wozie jest jeno kilka dziewcząt.

— Widzisz go! jak to sobie robi miejsce w niebie... zawołało razem kilka dziewcząt.

— Za Stellą—szepnął inny chłopak.

Nie zdążył się odciąć pobity, bo jedna z dziewcząt zapytała: — Mary? pójdiesz ze mną na „fajf sents szou“ (5c. show).

— Jes! pódę!—fajne pono mają pikciory w tym tygodniu...

— Girls! I go with you also — zaskrzeczała któraś po angielsku.

— And I! — and I! — and I! — wtórowali chłopcy.

Romińskiemu i tu duszno się zrobiło...

Wycofał się z kółeczka polsko-amerykańskiej młodzieży, i oparłszy się o kamienicę, przypatrywał się zdala defiladzie. Nie tonął już w niej tak całą duszą jak na początku, bo co dopiero usłyszana wiadomość bezrobocia—zaniepokoiła go; zraziła też bezcelowa gawędka młodych ludzi, a może... Kto wie?... Dziwne jest czasem przecucie...

Nie zajęły go już tak żywo nadciągające teraz powozy, udekorowane jeden piękniej od drugiego. — Przypatrywał im się coraz obojętniej: a gdy spostrzegł że powozy te, wiozą duchowieństwo, żywy jeszcze przed chwilą wzrok Romińskiego, stał się martwo szklistym. Gdy rzucił okiem na powagi w sutannach, oblał go od głów do stóp zimny pot.—Cały zapał patriotyczny opuścił go odrazu.

Spuścił powieki na oczy, i z ciężkiem westchnieniem zamknął się na chwilę w sobie...

Och! więc i tu nawet! Gdy dusza porwana świętem uczuciem — odmładzała się

niemal—stało to ohydne widmo przeszłości? — Czyż wiecznie prześladować go będzie?

Obawiając się wśród sutanowych postaci spotkać tego, który całunem grobowym okrył jego życie, odwrócił się i ociężałym krokiem powlókł się Milwaukee ulicą.

Jedna chwila starczyła aby odnowić gojącą się ranę. Nie oglądając się za siebie, szedł naprzód na wpół przytomny. Tego tylko był pewny, że wśród czarnych postaci spotkał by uwodziciela i — że niechybnie rzucił by się nań.—Walczył z sobą! Raz po raz potarł ręką czoło, to znów kierował błędny wzrok na obiecujące tak wiele przed chwilą narodowe barwy, zdobiące wszystkie okna i drzwi.

I znów nowe bolesne wspomnienie...

Wszakże i ten wieczór, w którym po raz pierwszy ujrzał Reginę, także był pełen polskich barw i uczucia...

Zabobonny lęk go ogarnął...

Bo i czemuż świadomie lub nieświadomie wchodzi zawsze na nową drogę—w wieczornej godzinie?...

Desperacko, jakby bronić się chciał tłoczącym go przecuciom, wpił się wzrokiem w białego orła, na powiewającym sztandarze jakiegoś okazałego domu.

Wszakże dla tego orła, by wyzwolić go z pętów niewoli, by pracować z drugimi nad oswobodzeniem go — tutaj przyjechał...

Musiała przy tej myśli jakaś otucha w niego wstąpić, bo złagodniała skrzywiona bólem twarz, a rozejrzawszy się następnie już nie z entuzjazmem, ale z ciekawością po kamienicach i spostrzegłszy opodal polsko brzmiącą nazwę restauracji, wszedł do niej śmiało.

* * *

Tak! Tak! — biedny niewolniku idei... Przybyłeś jak ten niewolny orzeł z za morza na targowisko patriotycznych przekonań!... Strzeż się licytacji...

XII.

Kwestja.

Już cały miesiąc oddycha Romiński polską atmosferą w Chicago. Czas spędza to w polskich restauracjach, to w cukierniach, gdzie zbiera się śmietanka doborowego towarzystwa i złota młodzież świeżo przybyła z kraju.

Za zajęciem dotychczas się nie starał, gdyż zaraz w pierwszym tygodniu grono „poważnie” myślących młodych ludzi, zdecydowało po naradzie, przypuścić go do spółki nowo powstającego tygodnika. Dwieście dolarów nakładu, czyniło go współwłaścicielem i zapewniało stałe zajęcie w administracji. Początek zatem w Chicago zapowiadał się niezłe, lepiej nawet, aniżeli się mógł spodziewać. Odrazu wchodził na pole pra-

cy dla ogółu, a kto wie, z czasem... może na niej i na wierzch wypłynąć...

Nieznane dotąd Romińskiemu uczucie ambicji, pojawiło się nagle w pustych skrytkach mózgu. Czemu się dziwić nie można, — dowiedziona bowiem jest zaraźliwość ambicyjnego patriotyzmu w Chicago.

Wchłaniał więc w siebie po trosze ambicyjny zaduch, brud, błoto jakie upiększają ulice miasta i dusze jego mieszkańców.

Spostrzegamy go właśnie wymijającego zdechłego konia, którego łeb leżący na chodniku utrudniał przejście przechodniom, jako też i sporą gromadę ludzi gapiących się na nieżywe zwierzę. Ale gdy usłyszał płaczliwy głos starego żyda i spostrzegł szczególną jego gestykulację, zatrzymał się także. Wieczór już był, to też scena ta przy słabym oświetleniu—bo w bocznej ulicy to było—robiła smutne wrażenie.

Wyprzedzimy zatem Romińskiego i zajrzemy do znanej cukierni, dokąd właśnie zmierzał.

Pięciu współników przysłego pisma siedzi przy bocznym stoliku oczekując z niecierpliwością Romińskiego.

— Ty Zdzichu masz najpoważniejszą minę— ty zabierz dziś główny głos—mówił nerwowo młodzieniec o mongolskich oczach, zwany

w skróceniu własnego nazwiska — Modlichem.

— Dziś trzeba koniecznie tę historję zakończyć przerwał wysoki blondyn o zaciętych ustach, a wiele obiecującym czole—przezwany „Sokratesem”. Materiał do druku gotowy, potrzeba tylko tych marnych kilka dolarów... Interes rozpoczyna się świetnie ozwał się inny niskiego wzrostu blondynek, zwany wśród kolegów „Mechesem”. Ogłoszeń mamy już za pięćset dolarów, — słyszycie za pięćset!

— Daj pyska, Meches! Walny chłop jesteś! Twoje ogłoszenia będą epoką, na której oprzemy pracę naszą, a bramy piekielne nie zwyciężą jej.

Powyższe słowa wypowiedział suchy, szczupły brunet, którego jako wyrzuconego kleryka z ostatniego kursu duchownego seminarjum—„Dobrodziejem” nazywano.

— Bramy piekielne nie zwyciężą nas!—krzyknęli wszyscy oprócz jednego, zwanego „Czołgoshem”. Zbrodnicze miano, dano mu z następujących racji: Raz, że prawdziwe jego nazwisko kończyło się także na „osz”, powtóre, że miał wygląd urwanego ze szubienicy, która to opinja wzięwszy swój początek z usteczek wielkiej związkowej partjotki — utrwaliła się w całym chicagoskim „highlifie”.

„Czołgosz”, z miną doświadczonego dziennikarza patrzył trochę ironicznie na zapał młodszych od siebie współników i poważnie przemówił:

Z taktem! z taktem panowie; postępujecie jak żaki.

— Co pan chcesz!—zawołał na to wesoło przypominający mongoła, jesteśmy przecież Polacy. Ojcowie nasi każdy zapał czcili winem, a my wygnańcy, przynieśliśmy na obcą ziemię tylko staropolską wesołość i tę w radosnych uniesieniach wydobywamy z głębi duszy, jak nasi ojcowie gąsiory z głębin piwnic.

— Brawo! brawo — Modlich! — Uczynimy cię nieśmiertelnym! Tyś pojął naszą tradycję, i odrodzoną w innej formie, przekazujesz ją nam tułaczom.

Na te słowa podniósł się „Sokrates” i zaciąwszy najpierw silnie wąskie usta, powiódł po zebranych stalowym wzrokiem a następnie — wolno, dobitnie wymówił:

— A ja wam mówię: — Głupcy jesteście! Nie na to zebraliśmy się tu dzisiaj, aby odkopywać wspomnienia przeszłości, nie na to kołace nam w głowie żadna czynu myśl, aby odgrzebywać stare tradycje, ale na to, aby omówić jak naprzód się puścić bez oglądania się za siebie. — Bo naprzód nam trzeba, do ciepła, do słońca, do dobra, do do-

skonałości, do boskości. Ażeby zaś to osiągnąć, musimy wyzbyć się wszystkiego, co stanowiło przeszłość.

Spojrzał zamglonym wzrokiem mędrca po obecnych, na Modlichu zaś, z którym rywalizowali o redaktorski stołek w przyszłym piśmie — zatrzymał go dłużej.

Modlich byłby może bronił odrodzonej przez siebie tradycji, ale wszedł Romiński ku któremu wyciągnęły się od razu wszystkie dłonie.

Odzywający się dotąd tak mało „Czołgosz”, pierwszy zagaił:—Panowie, nie traćmy czasu. Objąsnimy pana Romińskiego o materialnych i moralnych podstawach naszego pisma i — przystąpmy do pracy.

— Szubienicznik ma rację! zawołali jednogłośnie. (Nazywano go tak czasem).

Powtórzyło się sprawozdanie z pięciu — set dolarowych ogłoszeń, za które formalne pokwitowanie miał już „Meches” w kieszeni.

Dalej: Zdzych wyrecytował, że jako zadatek na papier i druk potrzeba gotówki dwieście dolarów.—Miejsce redaktora zajmie Sokrates, korektora Modlich, administratora Zdzych, zarządcy ogłoszeniowego „Meches”, kolektora — Dobrodziej. Prowadzenie listy prenumeratów przeznaczono Romińskiemu.

— Gałgany jakieś! a mnie pominęli za-
wołał „Czołgosz”. A wszak nie kto inny,
tylko ja dałem pierwszą podwalinę pismu.
Niech Meches powie, czy nie zapłaciłem do-
lارا za druk kontraktów ogłoszeniowych.

— Czy być może? zapytał drwiąco So-
krates, skąd pan na Adama dorwałeś się
dolara?

— A dał! potwierdził Meches.

— Patrzcie? Szubienicznik kasjerem! za-
wołali razem Modlich z Dobrodziejem.

— Brawo niech będzie kasjerem! krzyk-
nęła reszta poważnych młodzieńców.

— Przyjmuję!—oświadczył skromnie Czoł-
gosz, a zacznę od tego, że wyślę kolektora
do p. Romińskiego.

Romiński wzięty nagle w opałę, wyjął
pugilares, następnie dwieście dolarów i po-
dał je szubienicznikowi, żądając na to kwitu.
Czołgosz natychmiast uczynił zadość żada-
niu i—interes został załatwiony.

Podając kwit, Czołgosz zrobił propozycję,
aby Romińskiego wcielonego obecnie w ich
stowarzyszenie, obdarzyć też jakim przydom-
kiem. Zaproponował „Kotwicą”.

— Kotwica!—powtórzył Zdzych.

— Kotwica!—zawtórowali wszyscy.

I Romiński został „Kotwicą”.

Sokrates tylko był przeciwny, dowodząc,

że ze względu, iż Romiński przyczynił się do pisma, które spowoduje w społeczeństwie polskiem niechybny przewrót, winien być nazwany „Uranusem”, który to planeta w pewnej planetarnej kombinacji oddziaływa osobliwie na ziemię i czyni wielkie społeczne przewroty, ale go zagłuszono.

Romiński na chrzciny kazał podać gorącego pączu, który wkrótce z pod czupryn młodzieży zaczął wydobywać się humorem i hyżemi myślami.

Do pracy postanowili wziąć się zaraz — choćby nazajutrz. — Chodziło teraz o nazwę pisma.

Modlich, jako starokrajski rozmazgany literat, a zatem bogaty w zasób twórczej myśli, radził dać tytuł: „Gałązka Oliwna”. Zdych mając na myśli patryjotyzm — „Zraniony Orzeł”. Meches uważał za najstosowniejsze — „Polska za morzem”. Dobrodziej podsunął nazwę — „Strzała” Czołgosz, który w literaturze odznaczał się wielką oryginalnością i idealnością pomysłów, zwrócił uwagę, że obecnie gdy ruch wśród kobiet obejmuje wszystkie warstwy społeczeństwa, byłoby najstosowniej pismo nazwać „Diana”.

— „Gomółka sera!” — ozwał się głos z rogu pokoju.

Zwrócili wzrok wszyscy w stronę skąd

wyszły powyższe słowa, ale trudno było orzec, czy stosowały się one do planu nazwy pisma, czy też do jakiego czytanego artykułu. Jegomość bowiem, któremu wyrwał się ten frazes cały był zatopiony w czytaniu gazety, a nawet mało go było z po za niej widać.

— Kto to jest?—zapytał szczerze rozśmiany Romiński.

— To znany humorysta Srebnicki—objaśnił Sokrates.

— Taki dowcipny! — Wart się nazywać Złotnicki, przemknęło przez głowę Romińskiego i rozbawiony, już miał się pochwalić twórczością dowcipu, gdy Sokrates podjął przerwany temat:

— Bracia! Wyzbądźmy się starych naleciałości! Pismo nasze będzie burzyć stary porządek! Będzie ono burzą, po której dopiero inni zbudują nowe światy. My, jak pioruny przyrodą, powinniśmy wstrząsać społeczeństwem. Stawiam formalny wniosek, aby pismo nasze nosiło nazwę „Piorun”.

— To jeszcze nie na dzisiejsze społeczeństwo—zaprotestował „Dobrodziej”. W łonie jego nie ma jeszcze tych zarodków, któreby siłą takiego piorunu można wydobyć na powierzchnię.

— Dobrodziej nie rozumiesz! — krzyknął broniący swej idei Sokrates. Nie takim pionunem nam być, który wydobywa zarodki, ale tym, który zarodki wnosi w społeczeństwo.

— Tere-fere-kuku! — ozwało się z rogu pokoju.

— Sokrates się zbajał! — zachnął się Dobrodziej. Jeżeli zarodki w łono społeczeństwa wnosić będziesz przemocą, toś niczem więcej jeno prostym zbrodniarzem — gwałci-cielem... Chcesz odrodzenia ludzkości, to musisz zapładniać je miłością, a nie gwałtem.

— Brawo! brawo!

— Może Kotwica nam co doradzi, zaproponował zdetonowany Sokrates.

— Panowie,— zaczął wezwany, — pomiędzy wami zachodzi kwestja przekonań, stąd i nazwę pismu trudno od razu nadać, pozostawmy to jeszcze jako kwestję.

Modlich z Sokratesem spojrzeli na siebie, jakby uderzeni jedną myślą i równocześnie powstałi dla zabrania głosu.

— Niech Modlich mówi — zdecydował Zdzych, Sokrates dosyć nam prawił. — Modlich przeto zaczął:

— Ponieważ tak pomiędzy nami, jak i w całym społeczeństwie zachodzi kwestja przekonań, a pismo nasze bezwątpienia

wszystkie kwestje będzie poruszać, przeto raz-
dziłbym nazwać je „Kwestją”.

— To samo miałem na myśli oświad-
czył Sokrates.

— A zatem „Kwestją!”

— Kwestja! — krzyknęli wszyscy jedno-
głośnie.

— Dolara!—doleciał znów głos od rogu.

— Pięści na gardzieli! — wykrztusił nie-
wrażnie Szubienicznik śląc w róg zjadliwe
spojrzenie, poczem pośpiesznie opuścił ka-
wiarnię.

Niebawem rozeszło się też i całe towa-
rzystwo.

Romiński przechadzał się jeszcze jakiś czas
po Milwaukee ave, a wreszcie, jako że wie-
czór był duszny, gorący wszedł raz jeszcze
do kawiarni—na lody. — Srebnickiego zastał
na tem samym miejscu, ale już nie zatopio-
nego w gazecie. Usiadł więc przy tym sa-
mym stoliku i przedstawivszy się, zaczął roz-
mowę. Aczkolwiek Srebnicki ograniczał
się w słowach, Romiński wyniósł z tej
gawędki jednak tyle, że silne zwątpienie za-
kryło nadzieję powodzenia przyszłej „Kwe-
stji”...

Nie umiając ukryć niepokoju, schwycił
nerwowo za kapelusz i zostawiwszy połowę

porcji lodów i obojętnego Srebnickiego udał się wprost do swego mieszkania. Opodał kawiarni spotkał jakby przyczajonego — tak mu się przynajmniej zdawało—Szubienicznika, ale nie zwrócił na to głębszej uwagi. Dopiero nazajutrz, gdy z ust do ust podawano sobie napaść literata Czołgosza na humorystę Srebnickiego — przypomniał sobie ten szczegół.

XIII.

Rozczarowanie.

— Nawet „gomółka sera” nie wyszła z zapowiedzianego pisma — mówił w kilka tygodni później rozgoryczony Romiński do Srebnickiego w znanej nam kawiarni.

— Ależ to było do przewidzenia, — odparł Srebnicki. Jak można było tak łatwo i wiernie oddawać pieniądze takiemu łajdakowi, jakim jest Czołgosz. — A jakże zapatruje się na to reszta współników?

— Każdy ma minę zważoną, jeden na drugiego składa winę. Czołgosz się przysięga, że w hotelu „Nędza” skradziono mu pieniądze. Kto to może wiedzieć? Może go i naprawdę okradziono.

— Toś pan wyszedł na piśmie, akurat jak Zabłocki na mydle.

— Najgorsze, proszę pana, że jedne pieniądze przepadły, drugie się wyczerpały, a teraz, ni pieniędzy, ni pracy.

— Aleś pan nabył doświadczenia, a za wszystko co zdobywamy musimy w taki lub owaki sposób płacić.

— Mnie tu w Chicago trudno się zorientować: Tyle tu partji, przekonań, nienawiści, że nie wiem, w którą stronę się zwrócić. Tem co tu widzę jestem zniechęcony i rozgoryczony.

— Co pan chcesz? — rzekł na to bardzo poważnie Srebnicki—bębniąc palcami po stole;—Polacy jako naród posłanniczy muszą mieścić w sobie wszystkie wady i przymioty innych narodów. Więc tyle, ile jest złych i dobrych cech w narodach całej Europy, tyle znajduje się w Polakach.

Mówił to tak poważnie, że Romiński nie wiedział, czy brać to na serjo, czy też za żart.—Po chwili milczenia, spojrzawszy ciekawie na Srebnickiego — rzucił:

— A pan, czem jesteś wśród nich?

— Czem Polacy wśród innych narodów, tem ja wśród nich. — Śmieję się i błaznuję, gdy mię naprawdę serce boli, ukazując jątrzące rany—urągam im.

— Takie postępowanie jest obłudą! jest fałszem!—przerwał Romiński.

Nie panie, to potęga! to opanowanie uczuć! Człowiek nieraz w życiu musi zadać kłam uczuciu i chcąc, by go ludzie szanowali, zmuszać się śmiać wtedy, gdy serce pęka z bólu. W taki świat prawd weszliśmy obecnie drogą ewolucji ducha.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kilku mężczyzn, którzy z serdeczną poufałością zbliżyli się do Srebnickiego.

Romiński korzystając z chwilowego zamieszania wysunął się na ulicę. — Ciężkie myśli tłoczyły mu umysł, a pusta kieszeń nie zachęcała do nowych znajomości.

Wieczór był nieco chłodny. Jeden z tych tajemniczych, rozmarzonych, który jakby drżąc jeszcze ubiegłego dnia gorącem, dla ostudzenia zbyt wielu zapałów — przywoływał lekki wietrzyk.

Romiński skierował się do parku i tam przepędził większą część nocy. Obojętnem mu było, gdzie się znajdował, nie miał do kogo spieszyć do domu. Świadomość, iż tylko jeszcze dolara ma do rozporządzenia, a pracy żadnej nadziei — obezwładniała go. Znowu rozgoryczenie i zniechęcenie roztaczały nad nim swe cienie. — „Swoi”, po których tyle sobie obiecywał, obojętnie go zbywali. Tyle czynił zachodów o pracę i wszędzie na próżno. Więc znowu buntem wzbierała du-

sza, a strwożona myśl rozpacznie wybiegała na nowe drogi... A drogi te, ciągle wiodły naprzód... ciągle w nowy świat pojęć... Coraz lepiej zdawał sobie sprawę z własnych uczuć. Był pewny, że musi utracić wiarę we wszystko, co wierzył, a nie znając jeszcze tajemnicy odrodzenia, obawiał się w okół siebie pustki i ciemności zwątpienia.

Atomem w chaosie obłąkała myśl w rozterce.

Pożałował wyjazdu z Kalifornji...

Z wspomnieniem Kalifornji, przypomniały mu się słowa p. Kaszyńskiej: „Gdy zgasną dla ciebie wszystkie ideały i gdy ciemność otoczy cię w koło, szukaj światła w samym sobie.

Czyż rzeczywiście zgasły już dla mnie wszystkie ideały?—pomyślał Romiński.

Przypomniał też sobie, że, jak dotąd niedosyć zbliżył się do domu Związkowego, do tego przybytku patryjotycznych uczuć — świątyni narodowych ideałów. — Może tam znajdzie jaką radę lub pociechę. — Myśli tej uchwycił się jak konaący gromnicy.

Zresztą niedalej, jak ubiegłego dnia czytał poruszoną — przez jeden z miejscowych dzienników — smutną historję wypadku w Valparaiso. Dziennik ów, zarzucał Zarządowi, jakoby niesumiennie swego czasu przepro-

wadził w sądzie z kompanją kolejową sprawę zabitych.

Przypomniiał też sobie, że w czasie krwawego wypadku odrzucił był ofiarowywaną mu pomoc w uzyskaniu odszkodowania. — Jeżeli zatem sprawa istotnie jest zagmatwana, jak twierdził ostatnio dziennik i proces zostanie wznowiony, możeby więc było właściwem upomnieć się o swoją krzywdę?...

Uczucie szlachetności, które niegdyś wzięło nad nim górę, zmałało obecnie wobec widma nędzy.

Postanowił więc pójść nazajutrz do Domu Związkowego.

Z myślami temi, z ciężkich, czarnych obłoków cierpienia—wyłoniła się twarzyczka Anny... jej pożegnanie... krzyżyk zawieszony mu na szyi...

Bezmierny żal nim wezbrał za straconem szczęściem i za tą starą wiarą młodzieńczych ideałów. Wszystko zniknęło i został się tylko sam na pastwę cierpień.

Wspomnienia te ostrzem noża rozrywały mu piersi i biedny rozbitek, w bezbrzeżnej rozpaczycy siłą modlitwy, skierował myśl w daleką przestrzeń—w nadziei ratunku.

XIV.

W Świątyniach.

Nazajutrz około godziny 10-tej dążący Romiński do domu Związkowego, zatrzymał się nagle na Noble ulicy na widok wspaniałego orszaku pogrzebowego, który właśnie opuszczał kościół Św. Trójcy.

Szereg powozów, przepyszne wieńce, żałobny marsz doborowej orkiestry rozczuliły smutnego tułacza, a wspaniałością swoją przykuły do miejsca.

Znów na tle tem — wyłoniła się Anna... Jej skromny pogrzeb, któremu towarzyszył on tylko jeden... Pasmem tej myśli, puścić się dalej za żałobnym pochodem swego żywota, aż znalazł się tam, gdzie zamiast nieba jak dusza się spodziewała — ujrzał zdrady piekło. — Ciemność zwątpienia otoczyła go

zawszad... Poddawał się jej,—obojętniał na wszystko... Jedno tylko targało, jakby budząc konającą duszę, a tym był pogrzebowy marsz Chopina. Ten w chwili konania ostatniej nadziei — zjawił się i, nie odstąpił go nawet wówczas, gdy wtrącony do więzienia—cierpiał piekła katusze. Odtąd nadozł go czasem, dotykał zboląłych strun, i w niewysłowionym smutku ukazywał jakieś światła — jakieś światy, których mimo wysiłków zrozumieć nie mógł...

Przeszły już wszystkie powozy, zniknął orszak żałoby, dźwięki muzyki dochodziły już tylko słabo, a on stał jeszcze ciągle w miejscu, chwycił ostatnie smutku tony, zlewał je w jeden akord zbolącej duszy i nieznanem mu dotąd brzmieniem odkrywał krainę widzianą tylko czasami w błyskawicznym locie myśli na grobowem tle śmierci.

Zapatrzony w nowe objawy, zasłuchany w nowych światów pieśń, bezwiednie, jakby tulić się chciał do starej matki łona — wstał na stopnie kościoła, oparł się o filar i ukryty za nim, puścił wodze nieuchwytniej myśli. Ale jasność dnia, gwar ulicy, nie licowały z ponurem wnętrzem duszy, więc mimowoli otworzył drzwi świątyni, by w ciszy jej i mroku wobec ukrzyżowanego Chrystusa—dać ujście boleści...

Był pewny o godzinie tej — znajdzie się sam w kościele. — Omylił się jednak! w jednej z tylnych ławek klęczała kobieta z ukrytą w dłoniach twarzą, szlochając cicho.

Aby nie być spostrzeżonym, bez szmeru przyklęknął przy ławkach i choć przed chwilą dusza tak bardzo pragnęła mroku, ciszy i cierpiącego Chrystusa, teraz skupiła się cała—przy łzach kobiety.

Nie w żałobę była ubraną płacząca, a więc nie stratę drogiej osoby opłakiwała...

Fakt ten, odrazu zwrócił uwagę Romińskiego, a przypuszczenie, że kobieta podobnie jak on w opuszczeniu, przyszła zkarżyć się Chrystusowi w mrocznej ciszy kościoła — przyniosło mu ulgę. — Nie spuszczał z niej oka; o modlitwie nie myślał.

Wczoraj zresztą, pod niezmiernem niebios sklepieniem, odczuwał wielkiego, wiecznego Stwórcę-Boga, — dziś, Bóg w wąskich ścianach kościoła zamknięty w tabernaculum, wydał mu się biednym bezsilnym więźniem.

Nowe „wierzę“, przed którym nie tak dawno uciekał, obejmowało go już, choć jeszcze się doń nie przyznawał.

Myśli te, przebiegały raptownie przez głowę, a wzrok bezustannie spoczywał na płaczącej kobiecie.

Wszak w cierpieniu jest najwyższe piękno, a więc jest w niem Bóg, — na razie przeto, do cierpienia nieznaney kobiety gotów się był modlić. Zdawało mu się, że łkanie jej otwiera niebiosy, że łyzy w ciemnym mroku świątyni lśnią kryształem miłości, że Chrystus w świetle zmartwychwstania schodzi z krzyża boleści i łączy spojone cierpieniem — bratnie duchy.

Nie piękno ócz, nie czar ust, przykuwały wzrok jego do kobiety, bo twarzy jej nawet dostrzedz nie mógł, ale wydobywające się z piersi łkanie przyciągało i jednoczyło go z nią.

Nagle, kiedy się tego nie spodziewał, otarła gwałtownie chusteczką łyzy i zupełnie spokojna wyszła z ławki. Zauważył, że była lat średnich, powierzchowności zwykłej, ot taka sobie jakie się często spotyka; ale co go zastanowiło to—to, że na twarzy zanoszącej się przed chwilą od płaczu, nie było ani śladu łez.

— Albo udawała, że płacze — myślał, — albo ma niezwykłą siłę panowania nad sobą.—Pierwsze przypuszczenie wydawało się nieprawdopodobnem, — bo pocóż by udawa-

ła?—Wszakże w czasie, w jakim była w kościele nie mogła się spodziewać, by na nią kto patrzył; — był też pewny, że wychodząc nie zauważyła i jego obecności. Bądź co bądź zainteresowała go... Tak dawno nie widział skrytem cierpieniem wyciśniętej łzy, więc nie dziw, że wryła mu się w uczucie.

Z wyjściem kobiety, uniesienia jakich przed chwilą doznawał,—pierzchły. Powszedniość życia i jego potrzeby zaczęły gwałtownie się przypominać, a z nimi świadomość odwiedzin domu Związku Nar. Pol. — Trońska o byt potworem kłębiła się wkoło niego, nie pozwalając duszy wybiegać daleko. Wobec tej grozy, blednął w marzeń obłokach zmartwychwstały dla miłości bratniej człowiek-bóg, a ukazywał się dla kawałka chleba człowiek-zwierz.

Więc chwilowe widzenie, uchwycone momentalnie wyraźniej, zostawił jeszcze ciemnym mrokom kościoła, a sam powstał i — za kilka minut pewnym krokiem wstępował w podwoje „świątyni narodowej”.

Jakież było jego zdziwienie, gdy przez okienko oddzielające ganek od administracyjnego biura, ujrzał co dopiero widzianą w kościele kobietę.

Czekając swej kolei, usunął się cokolwiek na bok, ale prowadzona przez kobietę roz-

mowa z herkulesowej postaci mężczyzną — dochodziła go wyraźnie.

— Kto pani dopomaga — badał ironicznie „herkules” trzymając w kosmatych łapach sporą paczkę papierów „niby lejące dziennikarskie”.

Zawinięte poza łokcie rękawy, rozmarrana na piersiach koszula, przyklepiona szczelnie do spoconego ciała, jako też szelki swobodnie spuszczone z ramion, kazały się domyślać w osobie tej obskurnego szynkarza, a nie sławnego zarządcy związkowych pism.

— Nikt mi nie dopomaga — tłumaczyła kobieta,—walczę z nędzą, a wy moglibyście choć małą reklamą moich utworów dopomódz mi.

„Herkules” czy dla dodania sobie powagi, czy też na znak, że audjencja skończona—powstał, co ze względu na niespełniające obowiązku szelki—nabawiło Romińskiego niemiłej obawy.

?...

A nuż by tak...

?...

Nie stało się to jednak.

Ale za to ujrzał Romiński całą nagą duszę „herkulesa”,—na ostatnie bowiem słowa kobiety, odparł drwiąco:

— Powiedz to pani komu innemu, ale nie mnie staremu lisowi. Znamy się na tem... wiemy, że do utrzymania się są środki i pół środki...

Kobieta próbowała się bronić, co „herkules” brutalnie przerwał:

— Pani myśli, że my nic nie wiemy... Po co pani do pioruna tu przychodzisz, skoro i po innych redakcjach łazisz i umizgasz się do redaktorów choćby takich — jak ten przeklęty żyd zmartwychwstańców. — My wszystko wiemy — dokończył z tryumfem.

— Nie wszystko — wyjąknęła nieśmiało kobieta — bo powinieneś pan wiedzieć i to, że dla mnie są wszyscy równi ludzie, i że redaktor, którego pan złośliwie nazywasz żydem, choćby nawet nim był, przyznać muszę — on jeden wśród wszystkich redaktorów w Chicago w ciężkiej dla mnie chwili okazał się prawdziwym człowiekiem.

— To niech go pani idzie kokietować, a nie takich szczywanych, jak my tutaj!

— Ja nie przyszedłam pana kokietować, ale przyszedłam do instytucji narodowej prosić o moralną pomoc.

— Ej, pani sobie bez nas pomoże.

— Panie, nie pierwszy to raz udaję się do was. Pomimo, że w Zgodzie żeńskiej, w którym to piśmie, zamiast dodania mi

odwagi, pracę moją i usiłowania ośmieszycie, ja jednak zwróciłam się jeszcze do was, i wierząc w lepsze wasze strony, w niemożności wypowiedzenia się tu wobec wszystkich—odsłoniłam listownie moje położenie, prosiłam pana nawet na poufną rozmowę.—Intencje moje najszczerze wyszydziłeś pan w ohydny sposób.

— Co pani chce, bawimy się kosztem kobiet, które mają przekrecono w głowie, czemu pani do licha nie weźmie się do igły?

— Wiem; jest to wyrok, jaki wydał na mnie „nieomylny profesor”, a który to wyrok, gospodyni jego znana pod nazwą „chożącej encyklopedji”, w obrażający mnie sposób na kartach swego dzieła językiem uwieczniła.—Niestety! tym razem profesor w nieomylności swej... zbłądził się. Nie wtajemniczył się, ażali do szycia jestem zdolną. Próbowałam ostatnio i tego, lecz z nadmiaru pracy ostatnich lat, nie mogłam przy szyciu wytrzymać,—wpadałam w konwulsje. — Żle mnie sądzą; romanse nie są mi w głowie, a pracy nie każdej mogę się chwycić. Wy—najlepiej znacie stan mego zdrowia; wszakże dopiero w drodze nadzwyczajnej łaski przyjęliście moje ubezpieczenie do Związku, z warunkiem najniższego pośmiertnego.

— Co pani zatem chcesz? My inwalidów nie potrzebujemy. Dom starców i kalek jeszcze nie zbudowany.

— Panie, zdolności moje literackie nie są gorsze od wielu innych, którym schlebiać. Ja wiem, że w utworach moich są usterki, to też błagam, dajcie mi sposobność wyrobienia się. Ja kocham tę pracę, ona dla mnie stanowi wszystko, zastępuje mi wszelkie przyjemności życia. Błagam więc na tej drodze pomocy.—Nie mam tu rodziny—nikogo z przyjaciół.

— Niech pani nie pozuje i nie wpada w jakieś przeczulenie, to u nas nie popłaca, zresztą wszyscy wiemy, żeś sprytna baba. Ale, ale, wczoraj ubawiliśmy się też doskonale na pani conto. P. X. naśladował panią, jak sobie radzisz, gdy cię zawód lub nieprzyjemność spotka w interesach po za domem.—Kładliśmy się od śmiechu.

Kobieta oniemiała;—nie wyrzekła już ani słowa, tylko gdy potok wymowy przemiął, skłoniła się i wyszła — Romiński widział, jak przy wchodowych drzwiach zatrzymała się, otarła oczy i przez kilka minut wstrzymywała napływający strumień nowych łez.

Sam nie posunął się też do okienka.

Jakiegoż współczucia i pomocy mógł się

spodziewać po ludziach szydzących z pracy i łez kobiety?

To, co słyszał dawniej o brutalności niektórych urzędników zarządu Z. N. P. i to, czego był obecnie świadkiem, starczyło, aby zachwiać wiarę jego w uczciwość i dobroć stróży „narodowego przybytku.“

Z pogardą opuścił idealizowaną patrijotów świątynię.

I tak, jak na ciemnym tle kościoła z mroków boleści wyłaniała się ku niemu postać Zmartwychwstania, tak i tu z mroków niecnoty patrijotyzmu przemknął szybujący biały orzeł.

Dwa te uczucia złąły się w jedno i w ostatnim jęku śmierci starej wiary — objawiły przyszłe odrodzenie.

Odrodzenia! Odrodzenia duchem! wołała przeistoczona nagle istota Romińskiego:—Niechaj bezduszni kapłani domu bożego, i niecni bezduszni stróże przybytku narodowego, znikną w mrokach przeszłości, a wspomnienie po nich, niechaj pozostanie jedynie—jako wspomnienie upiorów, trapiących ongi ludzkość!

Wzruszony krzywdą, zaczął potężnieć duch w sobie. Pękły kajdany niewoli i na targowisku ludzkich przekonań stanął jeden

więcej wolny szermierz gotów, to przed czem dotąd w bezsile korzył się — burzyć i niszczyć.

W rozplomienionej głowie i podnieconej fantazji zamajaczył niewyraźnie jakiś wielki ideał, tak jasny i silny jak słońce, — taki, któryby wszystkim narodom przyświecał i królował.

Smutny, zamyślony, zapatrzony w nową prawdę żywota, szedł wolno naprzód, spotkać swoje przeznaczenie...

Wymijając kościół św. Trójcy, przypominał sobie potęgę wrażenia żałobnego marsza i zbudzone nim smutne wspomnienia. Zdawało mu się że i teraz jak w ową noc burzy, znów słyszy Chopinowskie tony, ale wyraźniej niż wówczas. W każde brzmienie wcielona była własna dusza i wielka smutkiem świetlana prawda otwierała bramy—marzonej tylko dotąd—krainy.

* * *

Nie rwij się ty doń wyzwoleńcze, bo im bliżej będziesz, tem więcej przeszkód spotkasz na twojej drodze. Jeszcze ty nieraz zmęczony, zapragniesz spoczynku na starej wierze.

XV.

Wyzwoleniec w bezsile.

Upłynęło dwa tygodnie.

W kieszeni Romińskiego nie ma już ani centa; a mieszkanie i stół wypowiedziano mu rano. — Spostrzegamy go powracającego pieszo z śródmieścia, gdzie chodził do agencji wyszukającej pracę. Przystawa chwilami i jak lunatyk patrzy na szybko wymijający go tłum: doznaje wrażenia, jakoby na innej znajdował się planecie. Wszystko i wszyscy tacy mu obci—tacy obojętni...

Wskutek bezrobocia, jeden drugiemu wydiera zajęcie, jeden pod drugim kopie dołki — jeden drugiego nienawidzi. Nigdzie szczerego słowa — szczerzej dłoni, a pomiędzy „swemi” najgorzej.

Wszechświat taki piękny, słońce świeci tak jasno, a świat ludzki taki poczwarny,

taki skłębiony w sobie taki—jak tuman zamieci na pogodnym systematycznym wszechogromie.

Przed wzrokiem duszy, przemknął układ planetarny z całą punktualnością obrotów, i zdziwił się niemal — że ludzkość jako wyobraźnia wszech-natury czyli Boga — na wzór swego Twórcy — nie próbuje nadać sobie również stałych systematycznych praw i dróg.

Nie zatrzymał się dłużej na tej myśli, a nawet wyrzucał sobie, że sięga gwiazd nieba, gdy raczej gruntu pod nogi wypadało szukać. Mimo to, co chwilę zaglądał w nowy zakątek bożego świata i co chwilę jakoby mu coś do duszy z niego przybywało. Szybował w przestworzu, spoglądał na ziemię, dotykał człowieka i coraz to dalej biegł rozradowany jasnemi drogami.

Gdybyż zajęcie znaleźć, wiedziałby teraz, jak żyć i jak na boskie dzieła patrzeć.

Jakkolwiek piękne to były myśli, wytwarzające coraz szersze pojęcia, nie dawały wszakże kawałka chleba, którego skurczony żołądek rozpacznie się dopominał.

Powlókł się do znanego sobie parku, gdzie bezsilny opadł na ławkę. Rwąca się do lotu myśl, to wybiegała ponad poziom, to zniechęcona, zmordowana, spadła bezsilna—w ka-

łuże nędzy. Były chwile, gdzie z wściekłością odzywały się w nim dzikie nieznane mu dotąd instynkta;—gotów był mordować, burzyć cały społeczny układ.

Idealy!...

Czemże są ideały wobec pustego żołądka?

A jednak choć szturmowane głodem, występowały coraz silniej na obronne szançe.— A może właśnie dlatego.

W rozpaczliwym wysiłku chwytiała myśl za wszystko, — pobiegła nawet do obojętnej mu dotąd socjalistycznej rzeszy i... o dziwo!... czy bieda go do nich zbliżyła? — bo dotknął ich tkliwym uczuciem?!...

„Ciężka tłocząca maszyna” jak mu się niegdyś zdawało, ukazała się teraz jako pierwsza armja narodów, biegnąca ku zdobyciu szczęścia.—Z zatraceniem w sobie uczuć piękna, z zagładą starej wiary, kroczy silna na przód, torując drogę ideałowi, którego dziś w swoim rozmachu nawet nie spostrzega.

I znów wyobraźni nędzarza — z szczytu głodowego, jak z wyżyn gór wschód słońca, ukazał się zbliżający — wszystkich narodów ideał.

Kilku go zaledwie dopiero spostrzega, reszta zaś w przecuciu zbliżającego się światła, stara się wykorzystać panujący jeszcze pół

mrok, by w nim na „ludzkim targu” łatwiej spieniężyć boskie ideały w figurkach, patriotyczne w ubezpieczeniu na życie, polityczne w zachłanności praw człowieka.

— A jednak — westchnął Romiński, handlarzom tym, trzeba mimo wszystko, wybić czołobitność—trzeba do nich się zbliżyć. Trzeba!...

Trzeba nawet teraz iść do katolickiego wydawnictwa, gdzie robiono mu także nadzieję jakiejś posady.

Wstał, powlókł się prosto przed siebie.

Czy przeznaczenie igrało z nim?...

Skoro bowiem otworzył drzwi wydawnictwa, ujrzał spotkaną już dwa razy kobietę.— Wychodziła właśnie, jak mu się zdawało, w dość dobrym humorze.

I tu — podobnie jak w domu Związkowym — czekając za zarządcą, był mimowoli świadkiem rozmowy tegoż — z drugim mężczyzną. Rozmowa tyczyła się kobiety i brzmiała niepochlebnie.

— Heród, baba! tej bieda nie dokuczy, mówił z sarkazmem katolicki zarządca, a gdy drugi mężczyzna nie odezwał się na to,— po małym przystanku ciągnął dalej: — Ona podobno do kościoła nie chodzi...

Romiński chciał już oświadczyć, że widział ją w kościele, ale w obawie, by nie po-

dejrzewano go o bliższą znajomość z kobietą zachwianej w ich oczach opinji, co mogło mu szkodzić u nich—zamilczał.

Zbyty później przez katolickiego zarządcę kilku lakonicznymi słowy, wyrzucał sobie swój postępek. — Przyznał, że cała ohyda samolubstwa wzięła nad nim górę.

Jakżeż można było śnić odrodzenie ducha —starą drogą fałszu.

To nic!...

To tylko starych dróg wyboje, o które nowy wyzwoleniec nieraz potknąć się musi...

Po raz też pierwszy od pamiętnego majowego obchodu, przypomniały mu się pamiętne słowa — siedzących obok niego poczciwców,—„Ciekawość gdzie prawda siedzi?”

— Skryła się w ciemnym kąciku, żeby jej bogaty zły pan nie znalazł.”

Tak istotnie!—bo i on także ukrył prawdę w milczenia kąciku.

— O! — westchnął, może przyjdzie czas, gdy wydobędę jak z ciemnego kątku na światło dzienne!

A tymczasem, choć oglądał już „jasność”, musiał się jeszcze ukrywać za starego fałszu cieniami.

Mocą krzywdy, wyzwolony z niewoli starych ideałów, błakał się jeszcze na ludzkim targu duch, przykuty kajdanami głodu.

Jak nowonarodzone dziecko, które bezradne, zmuszone jest ciągnąć z piersi matki soki żywotne, i on w swej bezsile zmuszony był szukać pokarmu, u starej wiary ludzi.

Zatopiony w nowych myślach, ciągle naprzód, rozwiązując tajemnicze węzły życia, aż przy głębszym wysiłku hen w górze, opadły go siły i... wyczerpany—bezsilny — zapukał do pierwszego domu—prosząc o posiłek...

* * *

O szczęście ludzkie ty tajemnico boska! nie pierwszych wyzwoleńców ty będziesz udziałem.

XVI.

Prądy.

Zbliżyła się jesień. Dnie były coraz chłodniejsze, potrzeby wśród ubogiej ludności się wzmagaly, a fabryki ciągle jeszcze stały pozamykane. Ci którzy nie mieli dachu nad głową, dotąd — nocowali gdzie się dało, — ale z nastaniem chłodniejszych nocy, snuły się nędzne postacie po oświetlonych ulicach, jak duchy pokutujące.

Najuczciwsi, pod chłostą biedy wyrodniali, a wielu było takich, którym czarne dni rozpaczy — zbrodnie oświetlały.

Podczas, gdy kapitaliści tonęli w zbytkach, robotnicy marnieli z głodu.

Romiński jak tylu innych, nie miał też dachu nad głową. — Trochę rzeczy z kufierkiem zostawił u jakiejś familji; a zabrawszy z sobą tylko drogie pamiątki, oddał

się na łaskę losu. Pozywiał się codzień w innym domu, a noce przepędzał albo w krytym wozie, jeśli się mógł doń dostać, albo gdziebądź w niezamkniętej stajni.

Co dzień zmieniał miejsce i starannie unikał „swoich”. Stary duch ambicji nie ustąpił jeszcze.

W czasie owego bezrobocia, nie jeden Romiński w taki sposób pędził życie. I nie jeden też on karłując ciałem — potężniał duchem, i nie on tylko jeden w zwierciadle nędzy ujrzał boskie drogi.

Wprawdzie było takich wielu, którzy, straciwszy w położeniu tem równowagę umysłu schodzili z starych dróg w błotniste bagna, ale byli też i tacy, którzy trzymając się starego traktu obmyślali chłodno plan nowej drogi.

Wielu było takich, którzy nie pogłębiając się w prawdę żywota z przekleństwem odwracali się od niej, ale byli też tacy, którym nędza pomogła przebyć mur oddzielający ich od drzewa wiadomości... Wśród tylu może jeden tylko Romiński zbliżał się doń z takim bólem i żalem za utraconą starego świata wiarą.—Bo któż mu dawał rękojmię, że ideały nowego świata, powstałe z nędzy i ducha niewoli, nie staną się kiedyś również przedmiotem handlu?...

Gubił się na nowych drogach biedny wyzwoleniec, a jednak gdy wysiłkiem woli zawrócił czasem znowuż — jakby niewidzialna siła pchała go naprzód...

W ciągłej walce i rozterce z sobą uwierzył wreszcie, że przeznaczenie gotuje mu tę drogę i że od niej ani smutkiem, ani bólem się nie wykupi. Nie pozostawało zatem nic innego, jeno iść naprzód — zabierając z sobą najlepsze i najdroższe to, co mu zostało.

Co dzień siedząc w parku, patrzył na opadające z drzew liście, zanurzał myśl w głębie swego ducha i odczuwał jak i tam jedno po drugim ginęło piękno...

Zniknął kwiat starej wiary, zniknęła zieleni patriotyzmu nadziei, zblednęło słońce miłości...

Cóż zatem miał z sobą zabrać na nową drogę?...

A przecież jak rdzeń drzewa żywotny, który po przejściu całunu zimy wydaje z siebie nowe latorośle, i w nim tliło jeszcze jedno uczucie...

Widzenie w kościele św. Trójcy zmartwychwstałego Chrystusa, krzepiło duszę i gdy wszystkie wokół niego ideały zdały się umierać, zmartwychwstały. Chrystus wskazywał nowego żywota drogę. Wierzył, że ukrzyżowana, sprofanowana miłość Chrystusa zmar-

twychwstanie wcielona w duszach ludzkich, jako ich zbawienie.

Wiary tej uchwycił się w chwili konania i ta tliła w nim jako rdzeń odrodzenia. — Wierzył i wiarą tą odradzał się.

Znikała ślepa ufność w kościół, a na jej miejsce występował silny uświęcony wiedzą duch. W duchu powstawała świątynia dla „boskiego człowieka”.

Zmartwychpowstał więc człowiek, w chwale swego bóstwa...

Widział jasne szlaki, któremi pójdzie ono zmartwychwstanie, ale nie wybiegał na nie zbyt daleko, bo na razie urągała mu nędza — jak Lucyfer Chrystusowi.

Zarzucony na dno kufra krzyżyk, zabrał z sobą idąc na poniewierkę losu. Wydobył go z ukrycia, zawiesił na szyi i rad był niezmiernie, że ten jeden z próby czyścowego ognia, z drogich mu skarbów — przy nim został.

Został!

A został teraz nietylko symbolem na pierśsiach, ale wiecznem życiem w duszy. — Ziarnem światła kiełkowało zmartwychwstania widzenie, torując sobie wieczności drogę.

Czasem jednak, z wiary tej nowej, wątpienia głosy chichotały szatańsko! wówczas, wyargumentowawszy z samym sobą wszyst-

kie „za i przeciw” mawiał: — a niech już będzie co chce, niedolę się jakoś przetrzyma, bezrobocie musi się skończyć — a potem zobaczymy...

W takich chwilach, zamykał księgę własnych poglądów, a pogłębiał się zwykle w książki przeważnie społeczno religijnej treści.

I teraz mimo mroku wyciąga właśnie z kieszeni poemat „Chrystus” [Kasprowicza] i usiłuje wchłonąć w siebie od razu całą treść.

Powietrze było duszne. Po kilku chłodniejszych dniach, niebo naraz ubrało się w jasnego błękitu letnią szatę i całą pełnią słonecznych wdzięków przez cały dzień drażniło ziemię. — Ale ta, obojętną pozostała. Nie rozpałała się dotykaniem czułych promieni, a nawet jakby w obronie przed nimi — otulała się w biały muślin pajęczyny.

Chmurzyło się chwilami na tę obojętność słońce, to znów, zdwojoną siłą uczucia — obejmowało ją.

Żarty te na przemian trwały do wieczora: lecz zanim schowało się skrzywdzone słońce, musiało się chyba z ziemią pogodzić, bo wesoło żegnało ją, zostawiając po sobie silny żar uczucia...

A może z ukrycia przygotowywało zem-

stę, bo ciemność zaległa już wszystkie zakątki, a ciepło wciąż potęgowało swą siłę...

Widocznem było—zanosi się na burzę.

Romiński spojrzał na niebo chcąc się upewnić o jego fantazji, ale widząc je jeszcze spokojne, utonął wzrokiem na kartach — a duszą w Chrystusie, czytał:

Tedy proroków i mędrców sposobem
Zwrócił się w stronę, gdzie go puszcza
[głucha
Przynęca ciszą i żądz ziemskich grobem.

W spokoju serca i skupieniu ducha
Dla rozstrzelonej chciał poszukać braci
Złocistych ogniów wiecznego łańcucha;

Albowiem wierzył, że narodu kaci,
Faryzeusze i arcykapłani,
Winni rozdziału, co ich siłą płaci;

I że z natury ludzie nieskalani,
Przez nich straciwszy swoją czystość łona,
Odbili łodzie od szczęścia przystani —

I są wśród morza, gdzie fala spieniona,
Bez gwiazdnych sterów i bez blasków
[słońca,
Poddani mocy czarnego eona.

I zmrok ołowiu od końca do końca,
I straszna przepaść bez dna i bez brzegu,
I znikąd jasny nie spływa obrońca...

I jak te wały na widziadła ściegu
Pienią się, syczą i biją do góry
I znów spadają w rozhukanym biegu,

Tak i duch mistrza, troskami ponury
O przyszłość świata, tę barkę smaganą,
Rwie się i rwie się, to znowu do chmury

Podobien ciężkiej, gdy jest poszarpaną
Strzałami słońca, co przez nią przeziara,
Zaczyna błyskać, jak po nocy rano...

A w okół niego właśnie noc zamiera:
Przez skał szczeliny, co po nad nim
[wiszą,
Świt oto drogę złocistą otwiera.

Odgłos dalekiego grzmotu, jakby urągając ostatnim słowom ozwał się w oddali, więc Romiński nie mając gdzieby na tę noc głowy skłonić, wstał i opuścił park.

Dziwny lęk i niepokój ogarniał go tego wieczora. I w jego duszy zrywało się coś z różnorodnych prądów mocującej się przyrody.

...Czyżby i dla niego skrzywdzone starego

słońca uczucie, gotowało w mrokach niespodziankę?...

Dla rozpędzenia czarnej nawały uczuć wszedł do kawiarni, gdzie uchwyciwszy gazetę — przesiedział cały wieczór.

Po pierwszym grzmocie, spadło kilka grubych kropel deszczu, poczem pozornie wyjaśniło się zupełnie. Ale duszna atmosfera kazała się obawiać lada chwila groźnej burzy.

Niespokojny Romiński wyszedł na ulicę, gdy było już po jedenastej. Błąkał się jeszcze niejakiś czas, namyślając się, w którą stronę się udać na spoczynek, aby tylko dalej od „swoich”.

Pograżonemu w czarnych myślach wyzwoleńcowi, bezwiednie zamigotało znów marzone słońce zmartwychwstania ludzkich dusz, gdy wtem doleciał go znajomy głos:

Po drugiej stronie ulicy, spostrzegł dążącą gromadkę młodych ludzi, a wśród nich kilku niedoszłych „wspólników” — niedoszłej „Kwestji”.

Młodzież ta złota, wracała w dobrym humorze z pikniku, a znalazłszy się właśnie obok tabacznego sklepu, gdzie trzy łokciowa figura cynowej kobiety imponuje tabace, młodzież w poszanowaniu przed muzą tą stanęła.

Pomysłowy „Sokrates”, pod wpływem piknikowego nektaru, z gibką jak „chew gum” wyobraźnią, wpadł w tabaczne dymno-obłoczne natchnienie i przechrypło rozczulonym głosem—zaczął:

Jako witraże michigańskiej toni,
gdy drżą blaskami smutnego księżyca,
kiedy się na dnie jego twarz wyłoni —
taką jest piękną ta oto dziewczica,
którą żyd profan przed sklepem postawił!...

(Zwracając się do jednego z towarzyszy.)

Patrz! Jak klasyczną ma twarz — — —

Wszak ty na pięknie się znasz —
nieprawda, drogi mój?...

Patrz! jak na życia bój
miecz trzyma w dłoni,
a na skroni...

Nie! nic niema na skroni!

tylko... paczkę papierosów trzyma

[w swojej dłoni!...

A głowę wznosi ku górze,
jakby pod niebem na chmurzę
widziała duchów gromady
idące na szczęście ofiarnicę,
by w chaotycznym ogromie

gigantów chłonących moce,
uderzyć w grobowca ściany;
aż krwi czarnawa pleśń
opadnie w dół! — — — — —

Skończył, pociągnął nosem i pochrząknął jak zwykle, gdy był z siebie zadowolony, i byłby może jeszcze jaką mówką obdarzył słuchaczy, ale wystąpił naprzód były aktor krakowskiej sceny (omen złotej młodzieży), a do którego to zwrócił się „Sokrates” z improwizacją i—lunawszy wódczanego wzruszenia łzami załepotał gradowym głosem:

— Panowie to genjusz! Ja znam sztukę, ja wiem co przez niego mówi!

— Wódeczność! A jakże przerwał rywalizujący z „Sokratesem” i o poezję—Modlich, którego zresztą czysty głos zdradzał w tej chwili wstrzemięźliwość.

— Pleciesz od rzeczy, bracie! Ukłękni przed nim na kolana! To perła! To gwiazda polskiego talentu za morzem!

Modlich się cofnął, ale rozentuzjasmowany aktor nalegał koniecznie, by wszyscy klękawszy—powitali na tułactwie boską twórczość poety.

Młodzież jednak obojętną została na twórczą iskrę genjuszu, a cały swój efekt zwróciła ku tabaczej muzie, przed którą zaczęła płaszać, nucąc każdy co innego.

Ale rozpedzony w swem uwielbieniu ku sztuce były aktor przyklęknął na jedno kolano i z mocą wielką prawił;

Genjusz! jak Boga kocham!
Klękajcie tu kołem—
i o ten chodnik uderzajcie czołem!
Patrz genjusz! ja szlocham...
płonę iskrą żaru
i aureolą czaru
obwity, korzę się przed tobą!...
Klękajcie więc kołem,
by o ziem czołem
uderzyć!....

„Czołgosz“, (bo i on tam był) rozkołysany aromatyczną wonią piknikowych napoi, aby powstrzymać balansowanie swej wiotkiej kibici, stał od samego początku, oparty łokciem o tabaczną boginię. W połowie improwizacji runął na kolana, a czując jeszcze chęć balansowania, dla powstrzymania tejże objął obiema rękoma cynkową kobietę.

Miałże li on, wielki twórca poezji, zostać obojętny na bożą iskrę, wydobywającą się

z piersi młodych ludzi?—On? Mistrz wielkich poronionych płodów?!

Nie wiadomo czy „Czołgosz” wiedział o jaką iskrę właściwie chodzi, bo równocześnie cmokał ustami usiłując rozniecić zagasłą iskrę trzymanego cygara. A może to był wyskok oryginalnego talentu, — dość że gdy ucichły gradowe słowa byłego aktora, rozległy się piskliwo tęskne tony, jakie czasami dają się słyszeć w marcu na dachach, a w nich komiczno czułe:

Co?!... kołem ch... chcesz?...

Iskra?!... Ech, cygaro zgasło...

A bodajże stu — po... polic... manów
w łeb cię pałą trzasło!...

Cholera!... Do żelaza... wiersze!?!...

Prawda, że do żywej...

Cicho!... Sza!...

„Kiedy byłem... tak! byłem

w Rumunji...”

(Wszyscy otaczają półkołem trzech miłośników sztuki).

Ha! ha! ha!

Czołgosz puszcza tabaczną boginię, przez co traci równowagę, i wybija głęboką czoło-

bitność nie wiadomo, czy bogini czy „Sokratesowi”, czy wspomnieniom Rumunji.

Były aktor podnosi go i biorąc w objęcia, woła rozczulony.

Znalazł się więc jeden, co sztukę zna!

Wszyscy:

— Ha! ha! ha!

Romiński przypatrując się tej scenie z drugiej strony ulicy — dostał zawrotu głowy. — Oto „poważna młodzież”, która lekkomyślnie naraziła go na stratę dwustu dolarów... Wepchnęła w otchłań nędzy...

Bawi się, weseli, śmiech ma na ustach, gdy on?...

Wstrząsnął się cały w oburzeniu, jak przebiegający w tej chwili obłoki grzmot i, smętny jak Chrystus na puszcy, szedł naprzód w ciemność spotkać się z przeznaczeniem...

Śmiech hulackiej młodzieży gonił go jeszcze, więc powtarzał urągające Chrystusowi słowa Lucypera, z czytanego przed chwilą w mroku poematu:

Zagrzmijcie śmiechem duchowie podziemni!

Radości blaski rozniećcie ogniste.

Ludzie zdradzają, bo ludzie nikczemni,

Lecz Bóg, gdzie Ojciec?.., A gdzie on?...

[mów Chryste!...

XVII.

Przesilenie.

Co tylko minęła północ. Zrywająca się z szaloną wściekłością burza, może z powodu nie odpowiedniej jej fazie pory roku, to wybuchwała gwałtownie, jakby próbując spóźnionej siły, to cichła, karcona potęgą dzikiej niezwyklej swawoli wichury.

Grzmot, pioruny, zawieja, ciemność, jak piekielne moce wzięły się w zapasy, walcząc o lepsze. Huk gromów, świst wichrów, pręły ciemne przestworze, podobne głosom demonów piekielnych czeluści.

Szalała przyroda!

Szalała, wstrząsana konieczną potrzebą odmian, ulegając ogólnemu prawu natury.

Ścierały się z sobą żywioły, wydając z siebie odrodzcy ogień życia. Ogień ten, ukazywał się mgnieniem błyskawicy na skłębio-

nych chmurach nieba, w których to zajęczało coś groźnie, to wyło przeraźliwie, to zachichotało, to piorunem niosło tam śmierć... tam życie...

Tak szalała owego fatalnego roku w jesieni przyroda!

A człowiek?

Człowiek taki jak Rockefeller, Morgan, Carnegie i tym podobny, mógł spokojnie, a nawet ciekawie obserwować w spóźnionej porze roku — niezwyklej objaw wzburzonej natury.

Ale taki jak Romiński, który dopiero w ostatniej chwili przed wybuchem, przemoczony do nitki wcisnął się do lichej obórki, gdzie od gwałtownych podmuchów dygotał od zimna i chybotął się na wszystkie strony z zwierzęcą przystanią, o czym mógł myśleć on? ...

Na razie nie myślał o niczem...

W rozszalałej grozie, w bydłecem mieszkaniu—zatracił ludzkie poczucie.

Wobec ogromu potęgi żywiołów, wobec ogromu całej grozy—czemże był on?... Czy był komu potrzebny? Czy o niego troszczył się kto?

Przez niejakiś czas, znieczulony na moralne cierpienie, posługiwał się odruchami instynktu — ogrzewał więc bezwiednie zzięb-

nięte ciało o ciepło bydłęcia. Ale z napływem ciepła, powstawała myśl, a z nią świadomość bezlitosnego osamotnienia i straszniejsza nad wszystko bezdenna pustka zwątpienia.

W bezmiernym smutku przylgnął źrenicą do szczeliny w ścianie i wyteńczywszy wzrok w nieprzeniknioną ciemność, a duszą po za cienia i światła, po za krańce wszelkiego jestestwa, zajączał nieludzko:—Boże! mój Boże! czemuś mnie opuścił?

A gdy potem na minutę dziwna cisza zaiegła, przeniósł raptownie myśl na głośno żującą bydłę, zazdroszcząc mu nieświadomości i nieczułości...

Wtem, zahuczało, zawyło nad obórką, aż strwożone bydłatko, posądzone o nieczułość — zaryczało lękliwie. Romiński skoczył do czującego stworzenia i objąwszy je za szyję, zapłakał.

Płakał, jak w ową czarną noc zmarłych nadziei, gdy wstępował w grobową otchłań życia...

I znów jak ongi, odbijały w duszy płynące weń żałobne tony Chopinowskie. Ale za nimi nie pojawiała się jak wówczas śmierć ducha, jeno opromieniona zmartwychwstaniem boskość Chrystusowa.

Zachwiały się naraz gwałtownie ściany, grom huknął — jakby myśli zmartwychwstania piekło uragało, ale człowiek mocą Chrystusowej wiary, odzyskał już wtedy swą człowieczość,—puścił szyję bydłęcia, rozerwał błyskawicznym ruchem na piersiach koszulę i chwyciwszy konwulsyjnie stary krzyżyk, padł na kolana, szepcząc drżącymi ustami: — O Stworzycielu i Odnowicielu świata! przemień tę straszną godzinę walki!

— O nieba! Czy piekło się rozwarło? — bo huk łoskot, krzyżowe światła, przepaść bezdenna i Romiński toczył się w jej czeluście...

Więc jeszcze nie był na drodze zmartwychwstania...

Ostatnia myśl, jaka mu towarzyszyła, był przykład Chrystusa, który umarł... wstąpił do piekieł... i dopiero zmartwychwstał...

Ciemność...

Łoskot grobowy piorunów...

Zniszczenie...

Budynki w gruzach...
Złamane drzewa...

Cisza...

Martwy Romiński leży w nędznej izdebce na tapczanie, nie okazując najmniejszego znaku życia. Nad nim pochylone postacie dwojga staruszków śpiewają niskim monotonnym głosem polskie „Kto się w opiekę”.

Romiński nie widzi ich, ale słyszy dochodzący go zdala niewyraźny głos...

Ach! to Chopin z chórem anielskich muzyków wita wracającego z piekieł w bramach nieba.

Westchnął z ulgą i zdawało mu się, że wyciągnął ku świetlanym postaciom ręce...

Zrobił rzeczywiście nieznaczny ruch. Puścił dotąd trzymany konwulsyjnie krzyżyk, na co pochylony mężczyzna zrobił uwagę, którą Romiński już zrozumiał:

— Ma krzyżyk!—Naszej jest wiary! Za-

pal mu Małgosia gromnicę, niech mu świeci biednemu na drogę wieczności.

Romiński usiłuje przemówić, poruszyć się—daremnie. Znow wpada w stan zaziemskiej błogości...

Czuje, że mu w rękę wciśnięto gromnicę, wnika mu w oczy jej blask...

Słyszy modlitwy za konających, a następnie: — W Imię Ojca i Syna i Ducha św. idź spokojnie w wieczną drogę szczęśliwości — Amen. Przy słowach tych, spływa na niego obfity deszcz święconej wody z kropidła, co ostatecznie przyprowadza go do przytomności.

Otworzył błędne źrenice i wpatrzył się w mniemane niebo...

— Czegoś żąda przed śmiercią — ozwała się na to kobieta.

Romiński tymczasem zrobił poruszenie głową i cicho wyszeptał:

— Kto wy jesteście?—Anieli?

— Chudobni ludzie—panie. Znaleźliśmy cię obumarłego w rozwalonej przez burzę obórce, gdy przyślim ratować bydłę.

Jakby na przypomnienie tego, co zaszło, umieszczona chwilowo w przystawce krowina zaryczała.

Romiński zamknął oczy. Wyglądał rzeczywiście jak trup, tylko płynące przez za-

ciśnięte powieki łyzy, świadczyły o życiu i myśli.

Krople deszczu zaczęły bić silnie w okno, na co staruszek, wyrzawszy przez nie, oznajmił:

— Znowu ćma idzie! poczem wyszedł do bydłątka, a jego połowica kropiąc święconą wodą zakątki izdebki, odmawiała „Pod Twoją obronę.“

Romińskiemu tymczasem powróciła cała przytomność—gdyż zemdlny był tylko i już ścigał objawiające się bezustannie w duszy obrazy.

Byłóż li to wstąpienie do piekieł? I czy wolnym już teraz od niebezpieczeństw będzie?—Czy też jeszcze?...

Jeszcze!...

Jeszcze w ostatniej bramie piekła, zmartwychwstały wyzwolenicze spotkać musisz grzechy starej wiary...

W przyczajonej, wylęklej duszy niebawem rozpoczną się także przesilenia przemiany... Jeszcze trochę bólu, a ziarno odrodzenia wydobędzie się z pękających już głębin—zielenią nowego życia.

XVIII.

Grzechy starej wiary.

Ostatnie wypadki wycieńczyły Romińskiego zupełnie. Aż dotąd bronił się mężnie, teraz, wyczerpanemu ciału poddawał się i duch;—ustało rozumowanie.

Gdy nazajutrz pobożni poczciwcy, którzy uratowali go od śmierci zrobili uwagę, że powinien podziękować Bogu za ocalenie, i podsunęli, że nadawała się do tego sposobność w ich kościele, gdzie właśnie odbywały się misje.—bez głębszego zastanowienia poszedł za ich radą. Sam po trosze w całym wypadku dopatrywał się zrządzenia boskiego, które zbliżyło go do pobożnych ludzi, a tym samym do reguł starej wiary.

Więc poszedł. Wszedł do kościoła, gdzie gromadnie już skupiali się ludzie około kon-

fesjonałów i korny uklęknął, czekając swojej kolei.

Gdy nadeszła, uchylił firankę, przyklęknął przy gęstej kratce, oddzielającej go od spowiednika i z spuszczoneym wzrokiem, wzruszony, zaczął cicho wynurzać swe grzechy. Po chwili, na jakąś uwagę spowiednika, drgnął, podniósł oczy i... czy znów się w piekle znajdował?... bo ujrzał przed sobą szatana!...

Ujrzał uwodziciela, gorszyciela, oszczercę! — Ujrzał tego, który zgutował mu piekło na ziemi!

I stała się nagle gwałtowna przemiana, bo gdy dawniej w stanowczych chwilach duch drżał trwogą i kruszył się w sobie, teraz silny, pewny siebie, jakby ostatnia prawda z otwartych bólem niebios weń spływała — powiedział spokojnym głosem:

— Wstrzymaj uwagę! gdyż nie ja ciebie, ale ty mnie winienesz prosić o przebaczenie! W imię tego światła co mi w duszy płonie—rozgrzeszam cię!—A to ci mówię, że czas jest bliski, gdy w tych świątyniach nie wy lud, ale lud was sądzić i rozgrzeszać będzie!

Opuścił szybko kościół, bo ksiądz wołał już o pomoc, a nie wątpił Romiński, że „kościelny szatan“ nie cofnął by się oddać go

tak jak ongi — do więzienia, lub domu warjatów.

Biegł naprzód bez wytchnienia i nie zatrzymał się, aż dopiero w śródmieściu, w znanem biurze pracy. Wcisnął się na ławę w róg pokoju i jak wpół pijany zaczął sobie powoli uprzytomniać ubiegłe wypadki.

Dziwił się sam sobie, że wydarzenie ostatniej nocy tak źle zrozumiał... Alboż błogowienie go przez staruszków nie było wyrażnem błogosławieństwem starej wiary na nową? To przejście z śmierci do życia czyż nie wyraźny znak tego?

Zaczawszy roić, Romiński był jak w halucynacji; ostatnie wypadki następowały tak szybko po sobie, że każdego mogły wytrącić z równowagi umysłu,—wzburzona więc imaginacja roiła dziwnie: To rwała się do świątyń i korzyła przed majestatem nauki Chrystusa, to wzdrygała na widok szatanów w sutannach, uprawiających w owych świątyniach niemoralność i przekupstwo. I widział młotów burzący kościoły gdzie przez „dwie doby” spoczywała w ciemnicy miłość Chrystusowa...

To znów blaski jakies go otaczały i jakby głos radosny przezeń się przedzierał: „Jeżeli zburzycie Kościół mój, w trzech dniach go znów postawię.” A więc stanie trzeciej

doby prawdziwy kościół Chrystusa!... Bo czyż jest na świecie piękniejsza nauka, nad naukę Chrystusa?

Czemże jest człowiek bez religii? — Martwota! Religja wysubtelnia ducha i wszczepia weń wieczności piękno.

Gdyby to światło Chrystusowe nie było odbiło się w jego bólu, czemuś byłby dziś on?

— Z pewnością zbrodniarzem! — A tak, jest wprawdzie nędzarzem — ale bogactwo ma w duszy, którego nie oddałby za skarby świata.

Gdy pomyślał o „kościelnych szatanach”, którzy profanują świątynię i naukę Chrystusa, gotów był sam iść burzyć mury i dachy świątyń, na głowy niegodnych sług.

Zburzyć, by kamień na kamieniu nie został, a trzeciego dnia wystawić świątynię „Odrodzenia.”

Sutanowe postacie rozgorączkowanej wyobraźni ukazywały się jako grzechy starej wiary—domagające się oczyszczenia...

Oczyścić starą wiarę z Kościelnych grzechów i odrodzoną dać na wieczny pokarm ludowi.

Jasne błyski otoczyły go zewsząd...

W męce i wysiłku uczuć — krystalizowała się myśl jednostki, podobnie jak całej ludzkości.

Coraz jaśniej i spokojniej robiło się w duszy, coraz większa świadomość go obejmowała.

Powrócił spokój. W południe wyszedł pożywić się jak zwykle przygodnie, a potem czekał znów ażali nie zjawi się kto po robotnika.

Jakoż po trzeciej godzinie przybył farmer, polak po pomocnika na farmy. W biurze na razie nie było na ten „job” więcej kandydatów, więc Romińskiego spotkało nareszcie szczęście — pracy.

Farma była niedaleko Chicago. Jechali blisko godzinę koleją, a następnie kilkanaście minut szli pieszo.

Na samym wstępie w gospodarstwo, farmer dowiedział się, że farmerka pojechała w konia i „buggy” w odwiedzinach do matki, na co mruknął niechętnie:—Już znowu!

Sciemniało na niebie; farmer przeto rozpoczął zwykle zachody gospodarskie, a Romińskiemu kazał wypocząć. Zaprowadził go do kuchni, gdzie niemłoda kobieta krzątała się około wieczerzy.—Kuchnia była sobie jak zwykle każda farmerska kuchnia, odróżniała

się tylko tem, że na środku stała kołyska z uspionem maleństwem.

Romiński usiadł i wsłuchał się w monotonna ciszę, jaka domostwo to otaczała. Przerывało ją jedynie kipienie z garnków, lub westchnienie krzątającej się kobiety — ciężkie, głębokie, jakby pochodzące z nadmiaru pracy.

Na spragnionym spokojnej przystani Romińskim cisza ta, i kącik domowego ogniska, robiły kojące wrażenie. Dawne zapomnianych marzeń obrazy stawały przed nim zamglone...

Zjawę tę przerwało kwilenie dziecka, a Romiński widząc, że kobiecie trudno podołać gotowaniu i kołysaniu, zbliżył się do kołyski.

Szczególne wzruszenie go ogarnęło. Wpa-
trzył się w niekształtną buzię dziecka, a szc-
dry w uczucie spowodowane dotknięciem
spokoju — robił mu już miejsce w sercu. —
Skoro się tylko zaczynało krzywić, bujał go
lekką, a na usta choć głosu nie wydał cisło
się—a—a—a!

A brzmienie to nie znane dotąd jego
uczucia ukazywało wyraźnie zamglony przed
chwilą obraz... Występowało na niem stra-
cone szczęście i także wątle istotki, któreby
mu były życie wypełniły.

Nie mógł się oprzeć pokusie... Chciał w własnym głosie usłyszeć kojące — a a — a!

Dziecię jakby wywołując je — coraz było niespokojniejsze...

Oparł rękę o poręcz kołyski, nogą nacisnął silniej biegun i wstrzymując niemal bicie serca, zaczął najpierw cicho, potem śmielej monotonne a—a—a! Dziecię usnęło, kołyska stała spokojnie, lecz Romiński ciągle jeszcze słyszał echo wewnątrz siebie kojącego a-a-a!

I dziwna rzecz! powoli, bezdźwięczne a—a—a! zmieniło się na niebiańskie tony Chopinowskie słyszane ostatniej nocy...

Zapomniał Romiński, a raczej nie zastanawiał, się że, proste a—a—a—jest pierwszym brzmieniem tonu kojącym człowieka... pierwszą podwaliną piękna głosu... Próżno się ten kusi być mistrzem muzyki, kto nie odczuje sercem pierwszego tonu.

Podniecony serdecznem pierwiastkowym brzmieniem, leciał duszą w czarowny świat tonów i czy cisza dopomogła, czy drgające w sercu a—a—a—bo chwycił je już i gdybyż instrument miał pod ręką—przeniósłby je nań...

Ale i to złudzenie niebawem rozwiało się. Do izby wszedł gospodarz, obmył zabrudzone ręce, wyjrzał przez okno i zrobiwszy uwagę—że gospodyni pewno nie rychło wróci—kazał podać wieszak.

Zaledwie tych słów domówił, w oddali zaturkotało. Romiński zdążył z niebiańskiej atmosfery przejść w ziemską i zrobić sobie obawy przecucie, że tony Chopinowskie spotykają go zawsze przed ciężkimi zawodami—gdy w drzwiach stanęła... Regina.

Zerwał się jak błyskawica i błyskawicą przeleciała myśl, że Regina prawdopodobnie po całej awanturze wyszła za Gęsickiego i że w ich to domu się znajduje... Jej dziecię kołysał... O ironio!...

Upokorzenie jakiego w tej chwili doznał nie pozwalało na rozumowanie; podniecony dumą, stanął przed nią i takimże stałym, silnym głosem jak rano w kościele—powiedział: — Przeznaczenie widać przyniosło mnie tutaj by przebaczyć i Tobie i wszystkim grzechom starej wiary. Zostań z Bogiem!

Szyderczy śmiech był na to odpowiedzią, a śmiech ten jak ćma złych duchów gonił za nim przez pole.—Ale Romiński nie zważał nań — przestał też chwiać się. W tej chwili ani zły, ani dobry duch nie miałby być do niego dostępu—on był sobą.,

Teraz wiedział...

To, co dziś nad ranem zdawało się go wołać do siebie, teraz — ujrzał jako stare grzechy sterczące słupami granicznymi, które nie dozwalały przekroczyć wytkniętej granicy.

W nowym już świecie nowych ideałów on był i cokolwiek się stanie, nie zrobi on już wysiłku zwrotu. Zrozumiał że choćby i zawrócił, grzechy starej wiary tamować będą mu przejście.

XIX.

Rozstajne drogi.

Noc padła mrokiem na ziemię, błogosławiona cisza objęła okolicę wzywając do spoczynku, a Romiński błąkał się jeszcze po cudzych polach. Strudzone, duch i ciało, domagały się wytchnienia i oboje—jakby ostatku wysiłkiem — szybko biegli naprzód. To chęć kresu moralnych i fizycznych cierpień, dodawała mocy...

Zresztą, mimo otaczającego go mroku i przeświadczenia, że na cudzych gruntach się znajduje, czuł w sobie jakąś niebywałą przedtem odwagę.—Zamilknął żal, pierzchły złudzenia, a występowała świadomość smutna wprawdzie, jak kryjący się w tej chwili księżyc za chmury, ale też podobnie jak on z ciemnych obłoków, wydobywała się prędko z chmur wątpienia.

Podwajając siłę kroków, zbierał rozproszone myśli, dążąc polną drożyną, aż zatrzymał się—na krzyżówce. O ile mrok dozwalał rozpoznać, droga, którą szedł, wchodziła dalej w krzaczasty las, poprzeczna zaś, z jednej strony ciągnęła się równo, z drugiej się urywała przy niewielkiem jeziorze.

Zatrzymał na chwilę znużone nogi, więcej dla odpoczynku, aniżeli dla wyboru drogi;—w tej czy tamtej stronie spodziewał się niebawem ujrzeć farmerskie domostwa, więc chciał przywołać do wnętrza spokój.

Usiadł na przydrożu, wsłuchał się i wpatrzył w otuloną mrokiem—niby w szatę tajemnicy—ciszę, i jakby w niej było łatwiej uchwycić stare znajome głosy, tak mu się te i owe zdania mówione niegdyś przez znajomych—przypominały. Szły do biednego rozbitka wyrzuczonego na krzyżową drogę przez lśniąca się opodal wodę, przez widok pól, przez szum liści i zda się niosły z sobą wyrzeczone niegdyś słowami myśli.

Choćby ta droga, co nią przyszedł... akurat taka sama prowadziła do kościoła św. Anny, gdzie modlitwą i pieniędzmi odkupował swój i nieszczęsnej narzeczonej spokój.

Z myślą tą, równocześnie wyłonił się ks. Przygodzki a z nim pierwsze po bolesnej stracie pociechy słowa;—Chrześcijaninowi nie

wolno rozpaczać. W każdym wypadku musi widzieć wolę Boga, i kto wie, czy nieszczęście jakie pana spotkało, nie zaprowadzi go do jakiegoś celu, do którego inaczej trudno by ci było znaleźć drogę“.

Do celu?

Nie widział on go jeszcze, ale wierzył teraz silnie, że przeznaczenie, albo raczej duch czasu temi to właśnie drogi zbliża go do siebie...

Szybując myślą, pomknął w dalszym ciągu na południe do kraju pomarańcz i palm, gdzie przecież mógł być zostać i może — dorobić się fortunki!... Czemuż się tak nie stało?...

Uciekł stamtąd przed obrazami tworzone-
mi cierpieniem kobiety.

A jednak nie uciekł przed nimi, były one teraz i jego wiarą — jego żywotem. Cierpienie dało mu klucz ich tajemnicy.

Gdy tak rozmyślał, nagle z postacią nieszczęśliwej kobiety, pojawiło się w pamięci tym razem jakby ognistemi literami wyrze-
— „Gdy wszystkie światła zgasną natwej drodze—
zapał sam w sobie światło!”

Z wspomnieniem tem, przyszła znów świadomość opuszczenia i znów, jak ostatniej nocy w bydłecem mieszkaniu — pochwyciła go rozpacz.

... Wszakże zgasły wszystkie ideały, i nie było wokół niego—jeno ciemność...

Utkwił smutne źrenice w sklepienie niebios i żalonym głosem znowu wyszeptał: — Boże, mój Boże—czemuś mnie opuścił?

Ale niebo nie było takie czarne, jak wczoraj, ani też słowom jego nie towarzyszył huk gromów,—wiatr wprawdzie chłodny wdzierał się pod ubranie, jakby zimną przestrogę chciał dać, ale gwiazdki błyszcząły na niebie, dodając tem samem biednemu samotnikowi—nadziei—wpatrzył się też z całą ufnością w górne światła i z nich czerpał natchnienie na nową drogę. Ku nim zwrócił starganą myśl i ich blaskiem odpowiadał na rosnącą żądzę światła w samym sobie. Patrzył się w niebios iskierki i szeptał: — Choćby takim płomyczkiem świecić na ziemi — dozwól mi Panie!

Powoli, ukojenie zaczęło napływać do duszy, a z niem poczucie człowieczej godności.

Cierpieniem posiadał wiedzę, której, czemużby nie miał użyć dla dobra bliźnich?... Silny jest samopoznaniem i siłę tę winien wykorzystać. Siła ta odtąd będzie mu przewodnikiem; ta wskazywać będzie drogę.

Śnił rozbitek nadzieję, patrząc w migające niebios światła.

Księżyc tymczasem zwalczył zakrywające go chmury i wyłonił się cały w blasku zwycięstwa.

Z krzewów sunął w bok zając, a spłoszone szelestem z nocnych leż ptaki, uniosły się w górę; — na to poruszenie, powstał też i Romiński, rzucił okiem na rozdroże i puścił się naprzód.

— Pójdę przedsię dalej—myślał—tą samą drogą, którą przyszedłem; — miałebym obawiać się leśnych krzewów?...

Przekroczył rozdroże i śmiało wszedł w gęstwinę, a nie szedł sam... towarzyszyła mu zimna rozwaga i ta odtąd miała mu być nieodstępna towarzyszką. Ta też to — ukazywała mu już nie ciszę i spokój—ale walkę.— Nie_wiedzia!ł, gdzie i jak, ale przeczuwał że przeznaczenie—nie! Nie chciał tego określenia! przeczuwał zatem, że „duch czasu“ pcha go w sam środek ludzkiego targowiska, gdzie ubóstwem, krzywdą, pohańbieniem, licytować będzie człowiecze prawo! A licytować będzie tak głośno, aż zmilkną niecni handlarze ludzkiego targu! Na krzyżu cierpienia, którym przez dwie doby ohydnie handlowano, zatknie sztandar zmartwychwstałej miłości. Rzuci się w wir handlu ludzkiego, jak rzucił się w krzewy nieznanej drogi.

Tak roił idąc ciemnym lasem. Snać dusza dochodziła pełni odrodzenia.

W kilkanaście minut przebył las, a gdy wydostał się z niego, ujrzał na samym skraju farmerską zagrodę.

Godzina nie była zbyt późna, przeto mieszkańcy czuwali jeszcze.

Na prośbę o nocleg, dano mu go nie jak zwykle przybłędom w stodole, ale w schludnej izdebce, w pościeli. Po tylu tygodniach poniewierki, rajem mu się zdawało łóżko z pościelą. Spał też biedny rozbitek snem twardym do dziewiątej rano.

Przy śniadaniu, ku swej radości dowiedział się, że nocował w polskim domu.

Nie wstał był jeszcze od stołu, kiedy wszedł chłopiec z paczką gazet z poczty. Nikt się do czytania nie kwapił, więc Romiński sięgnął po Dziennik i, jak zwykle, najpierw rzucił okiem na ponętne w obecnym położeniu — ogłoszenia.

Naraz, poruszył się cały...

A to co?... To jakby dla niego!...

„Potrzeba inteligentnego mężczyzny do pomocy w wydawnictwie X. X. Taki, który miał w życiu nieszczęście, będzie miał pierwszeństwo. Zgłosić się i t. d.

Wypadało nie tracić ani chwili czasu, gdyż Dziennik był wczorajszy, a zatem łatwo

mógłby się być ktoś na miejscu po posadę tę zgłosić.

Ale jak śpieszyć? Na jazdę koleją nie było ani centa...

Z zasmuconej miny domyślili się poczciwi farmerzy, co mu brakuje i, nie czekając prośby, wsunęli mu w rękę więcej jak potrzeba było na drogę, co Romiński wziął za dobrą wróżbę.—Obawiał się tylko, czy nieszczęścia jakie przeszedł będą dostateczne do otrzymania posady, gdyż nieszczęściem nazywają jedynie kalectwo. — Po raz pierwszy odczuł, że są na świecie nieszczęśliwsi od niego. Z przeświadczeniem tem, jeszcze większa wiara w siebie i nadzieja w przyszłość nim owładnęła.

Wkrótce znalazł się w Chicago; że jednak o wydawnictwie tem poprzednio nic nie słyszał, przeto najpierw zaszedł do opiekuńczej kawiarni, aby tam dowiedzieć się jakichkolwiek szczegółów.

Dostał je wnet, a wszystkie mniej więcej brzmiały:—A to mądra baba, już i pomocy potrzebuje!

Zaś na zapytanie, kim była owa baba? — dostawał jedną odpowiedź—„biznesistka“.

Pomimo co tylko przed chwilą obawy, czy dosyć jego nieszczęścia dla uzyskania posady, na wieść, że ta zależną jest od kobie-

ty — już... już... zaczął buntem powstawać duch. Ujmą zdawało się mężczyźnie iść pracować w wydawnictwie kobiecem... ale duch nowy zwalczył go...

Zresztą nie było wyboru, miałże li wracać na rozdroże?

Nie!—Naprzód on już pójdzie, objęty duchem nowego czasu!

XX.

Na nowej drodze.

Każda nowa idea, chcąc wywalczyć sobie prawo bytu, musi pokonywać niechętnych a równocześnie świecić blaskiem dobrych czynów. Idea równouprawnienia kobiet spotyka więcej przeszkód, aniżeli którakolwiek inna, w nierównej zaś walce z mężczyzną jej dynym jej orężem, cierpliwość, miłość, i intuicja, które to prowadzą ją wyżej nad chłodne wyrachowanie i rubaszność mężczyzn.

Brutalność tego ostatniego wyrobiła się w nim przez „niby prawo boże” które nadało mu po wsze czasy nadzwyczajne przywileje, a tym samym moc panowania.

Z tą to hydrą ziemskiego rajy — walczy dzisiejsza kobieta.

Mężczyzna widząc panowanie swoje zachwiane—usiłuje się bronić.

Czyż można dziwić się temu?

Wszakże ma oddać połowę swego tronu?..
Komu?—Tysiącleci niewolnicy?!...

Więc pomimo miłości ku tejże samej niewolnicy ośmiesza ją, aby tylko wstrzymać chwilę równouprawnienia. Ten sam mężczyzna, który w domu traktuje kobietę grzecznie, dla tejże kobiety gdy taze chce współzawodniczyć z nim w pracy społecznej — będzie brutalem. —Wielu z mężczyzn nie pogłębia się w istotę rzeczy, tylko—ot—nie chcą kobiety obok siebie w życiu publicznem.

Romiński pod tym względem nie stanowił wyjątku. Mimo całej niedoli, jaką przeszedł i konieczności starania się o pracę, burzył się, że u „słabszej istoty” przychodzi mu jej szukać. Tłumaczył sobie wprawdzie, że podobny przewrót jaki dokonał się w nim dokonywa się w całej ludzkości i że w przewrocie tym strony uważane za słabsze odniosą zwycięstwo—a więc kobiety, ale...

Ale przykładac rękę do własnego upadku... w każdym razie przyznać się do winy uświęconej tradycją, jako woli Boga... to jakoś nie po męsku..

Ale...

Ale nie było innego wyjścia; trzeba się było poddać nowym prądom.

Było co tylko po południu, gdy rekrut nowej pobudki poszedł w łaskawości swej, ofiarować usługi—„biznesistce”.

Z lekceważeniem otworzył drzwi biura i... na widok znajdującej się tam kobiety....

.
. zapomniał języka w gębie.

Na uprzejme zapytanie: — Co pan sobie życzy?—odpowiedział naiwnie:

— To pani?!... Ja panią przecież znam!

— Być może, nie przypominam sobie.—
Pańskie nazwisko?

— Stanisław Romiński,

— Bardzo mi przyjemnie. Jestem.. Łaż—
wydawczyni czasopisma. Czem mogę panu służyć?—zapytała — kierując rozmowę do interesu.

Romiński przypomniał sobie, że jakkolwiek znał tę kobietę, nie był przecież nigdy jej przedstawiony. Okoliczności jakie towarzyszyły poznaniu jej, dawały mu pewność, że rzeczywiście zna ją dobrze. Widział przecież jej skryte łzy, słyszał jak się broniła napaści brutalnej, był świadkiem, jak ją oczerniano. To była znajoma z kościoła św. Trójcy, gdzie po raz

pierwszy błysnęło mu w duszy światło zmar-
twychwstania.

Wspomnienie to, jako też swobodne obej-
ście wydawczyni — oprzytomniły go i nat-
chnęły jakimś zaufaniem. — Przeprosił za
nietaktowne znalezienie się i wyjawiał powód
przybycia.

Po wymianie kilku zdań, opowiedze-
niu nieszczęścia z Anną, (bo o innych zamil-
czał), ułożeniu godzin pracy, oznaczeniu wy-
nagrodzenia, Romiński został współpracowni-
kiem kobiecego pisma

.

Pewno duch czasu na ludzkim targu szy-
kował stragan na nowy produkt

Kilka już tygodni pracuje Romiński dla
sprawy kobiecej, ale trudno mu się z położe-
niem nowem pogodzić.

Czyż na to przebył ciężkie koleje losu,
aby być niewolnikiem kobiecych wybryków?
Czyż to był cel do którego bólem pchał go
duch czasu? — Niech wreszcie walczą sobie
o swe prawa kobiety, ale pomagać w tem
mężczyźnie?...

Zresztą, czyż nie lepiej kobiecie w cieniu

za mężczyzną?... Czyż nie lepiej być osłoniętą jego opieką?

Raz nawet ośmielił się wyrzec to do swej pryncypałki.

— A czyś pan też pomyślał — odparła — że wiele kobiet znajduje się przed mężczyzną partych na stanowisko nie chęcią przodowania, ale wolą losu? A są ku temu ważne powody. Jeżeli naprzykład mężowi poślizgnie się noga i upadnie... czy żona stojąca poza nim ma przez niego wywrócić także koziołka?... Czy nie lepiej aby w takim razie stojąca z nim na równi, w chwili niebezpieczeństwa — świadomością i rozwagą go podtrzymała? lub też, gdy to się nie uda, zamiast przywaloną jego upadkiem, lub wyracającą koziołki, czyż nie lepiej abyśmy ją — głowę rodziny na której ciąży obowiązki — widzieli w równych szeregach z mężczyznami, pracującą samodzielnie? — A upadków mężczyzn różnego rodzaju, widzi się dziś bardzo wiele...

Romiński na argumenty takie nie miał odpowiedzi — więc milczał zwykle pokonany.

Rozbrajano go coraz więcej... Odbierano mu starą broń... Co raz to stawiano go na nowych posterunkach, gdzie coraz to inne

roztaczały się przed nim widnokreśli. A coraz to bardziej oddalał się od starych dróg...

Z dawnego ducha zostało nie wiele, a do nowego nie mógł się dostosować.

On, gotował się do walki, a tymczasem i w nim jak w całej ludzkości duch nowy pod dotknięciem niewieści, tracił chęć boju, a objawiał się uczuciem miłości.

Miłości?

Wszakże miłość w ludzkości i jego marzeniem była!...

Zwykle gdy takie rozumowanie go napa-
dało, sięgał raptownie dla rozpędzenia myśli
po książkę, bo naprzód wiedział, że będzie
pokonany, a do tego wyraźnie nie chciał się
jeszcze przyznać...

Naprzykład ta marzona przez niego mi-
łość — też mu się raz zaśmiała:

— Jaką ty miłość ludzkości dasz — sko-
ro dla siebie zatrzymujesz większą jej poło-
wę?!... Przez miłość daj równość kobiecie —
cel będzie osiągnięty.—Miłość obejmie świat,
gdy ty wyrzeczysz się samolubstwa!...

Naga prawda, domagająca się racji bytu,
stawała przed nim, ale on, aby jej nie wi-
dzieć—spuszczał przed nią oczy. Raz nawet
przypomniała mu, jak wzdychał nad wep-
chniętą w kącik milczenia, jak przyrzekał

w niedalekiej przyszłości wydobyć ją na światło dzienne... a teraz?...

— Ano chciałeś walczyć dla nowych ideałów—więc walcz!—szeptały znów inną razą nowego czasu chochliki.

Szarpał się, a wreszcie zaczął się oswajać z nowym położeniem i rzecz więcej traktować serjo.

Zbliżał się powoli do kobiecych ideałów...

Z czasem ośmielił się nawet bronić pryncypałki, gdy usłyszał gdzie uwłaczające jej pracy uwagi, co niestety wywoływało dwuznaczne uśmiechy, przypuszczenia i — pogarszało tylko sprawę.

Wprawdzie w roli obrońcy nie posuwał się zbyt za daleko, bo gdy w początku sam sobie wmawiał, że zna tę kobietę, teraz miał wątpliwość.. To trochę łez których był świadkiem, to jeszcze nie całe żywota świadectwo... W codziennem obejściu była dla niego grzeczną—wiecznie mówiącą o interesie, po za tem... trochę zagadkową...

Pewnego razu w domu dość inteligentnym sztychowano niemilosierdzie z usiłowań wydawczyni. Rozgoryczony po powrocie do biura bezwzględnie rzucił:

— Czemu najlepsze pani chęci ludzie tak

źle rozumieją i ignorują je? Musi w tem chyba być pani wina...

— Bo ludzie są źli—odrzekła z drżeniem w głosie.

Spostrzegł, że wyrządził przykrość i po raz pierwszy zwrócił się do niej z współczującym słowem.

Jakby za czarodziejskiem dotknięciem — spadła ciężka zasłona „biznesu”, oczom zaś Romińskiego ukazała się słaba, łamiąca się bólem kobieta.—Łzy kulały się po policzkach, a tłumiony prawdopodobnie przez dłuższy czas ból wydobywał się łkanem i słowy:

— Nie mów mi pan więcej! Ja wiem, że im zawadzam... O Boże! co ja wycierpiałam. I jeszcze nie ma końca...

Romińskiemu zrobiło się niezmiernie żal kobiety; jął tłumaczyć, że każdy ma swój krzyż i na potwierdzenie rozczulony odkrył swe rany. Opowiedział jak mu się wiodło wśród swoich, do których przez długi czas taką mocą rwała się dusza.

Rozżalona kobieta, porwana prądem cierpienia, dała też ujście boleści i przeplatając łzami, wyrzuciła z udreżonej duszy niektóre przejścia, jakie miała w Chicago.

XXI.

Bez słońca i chleba.

Są bóle, mówiła, których dotknięcie byłoby śmiertelne; te więc zostawię nieporuszone; w życie moje prywatne nigdy i nikogo nie wtajemniczę, natomiast przedstawię Panu tę walkę, jaką z powodu mej pracy przychodzi mi toczyć z chicagoską inteligencją.

Do Chicago przyjechałam w chwili, gdy zgasły dla mnie wszystkie ideały, w które wiara—czyni z kobiety kapłankę domowego ogniska. Los, czy przeznaczenie może, wyrzuciło mię po za obręb ciepła rodzinnego i złamaną na duchu i ciele, ogołoconą z wszelkiego dobra, zostawiło w rozterce na poniewierkę.

Po ciężkiej chorobie przebytej w szpitalu przyjechałam tu, a było mi wszystko jedno

dokąd jadę. Tu w każdym razie spodziewałam się łatwiej znaleźć pole pracy. Ogołoconą byłam! Całym bogactwem i zasobem moim była silna wola i żarzące się jeszcze uczucie miłości bliźniego, któremi to siły chciałam przytulić się do naszego społeczeństwa.

Niestety! nie wiedziałem wówczas, że społeczeństwo nasze w Ameryce przechodzi dopiero okres niemowlęctwa, że zmysły jego jeszcze nie rozwinięte na pojęcie prawdy. Ze przedziej pociągnie go krzykliwe puste słowo pyszałków—podobne do dziecinnej grzechotki, aniżeli z serca płynące słowa prawdziwych pracowników ludu. Na rdzenną prawdę nie otwarte jeszcze zmysły polskiego społeczeństwa w Ameryce.

W takich więc warunkach, na łonie naszego społeczeństwa doznawałam obelg, szturchańców i razów.—Ci sami, którzy nawołują tłum do dźwigania się ku wyżynom, spychali mnie niemiłosiernie na dół. Skoro tylko zrobiłam krok w którąkolwiek stronę, rzucono mi ciężkie kamienie pod nogi, które i raniły boleśnie i tamowały przejście.

Nikt nie zbliżył się z życzliwą dłonią lub pocziwą radą, nikt nie starał się wejrzeć w pobudki, skłaniające mnie do stawiania trudnych kroków ku górze, orzekli tylko,

żem niepotrzebna i aby odstraszyć od dalszego pochodu, miotali na mnie wszelkiego rodzaju oszczerstwa.

A dusza rwała się naprzód, bo w ciszy swej i cierpieniu odczuła krzywdy i potrzeby drugich kobiet i dla ich pożytku pragnęła, torować przejście... A przy tem, majaczyło coś na dnie błyskiem talentu, co gdyby tylko ująć w jakieś ramki—kto wie... możeby chlubą i rozrywką tułaczy było...

Jakieś ramki!...

O te ramki właśnie chodziło... o wyrobienie sobie stylu, języka, by w nie przybrać cisnącą się lawą do głowy uczucie...

Ale wyrokiem „grzechów“ sięgać po te ramki było mi nie wolno choćby one miały stanowić jedyne moje utrzymanie — jedyny cel życia,

O — Boże! czy będą mi kiedy policzone te upokorzenia, jakie ja tu przeszłam?...

Dziecinne grzechotki, rade się popisać głupim łoskotem, uderzały w biedną kobietę, która nie mając nigdzie oparcia, w milczeniu musiała wszystko przyjmować.

W początku po przyjeździe moim tutaj, łudziłam się nadzieją dostania zajęcia w którymkolwiek z wydawnictw, co dałoby mi możliwość i utrzymania i nabycia upragnionych literackich wiadomości.

Jakże naiwną byłam! Sięgać w Chicago po posady mogą tylko ci—którzy mają protekcję; - a moją całą protekcją była silna wola i zaufanie z jakim się wszędzie zbliżałam.

Młodziutką przybyłam do Ameryki, to trochę co nauczyłam się w kraju, poszło w zapomnienie w walce o byt dla rodziny. Więc nie dość było posiadać talent i silną wolę, potrzeba było niektórych wskazówek, wzorów, źródeł, a tymczasem wszędzie gdy się zbliżyłam—odpychano mnie, dając na pociechę: „Taka kobieta jak pani da sobie radę.”

No i taka kobieta z chęcią pracy, odrobiną talentu i ukochaniem społeczeństwa, marniała, karłała wśród niego, głodując nieraz po kilka dni.

Tu w Chicago wśród tego mrowiska ludu, czułam się stokroć więcej osamotnioną, aniżeli na odludnych farmach.

Cicho... ciemno i nad wyraz smutno było wokół mnie... Jedyłą pociechą, jedynem światłem, to drgające na dnie duszy nowe życie, które gwałtownie wydobywało się na świat. — Więc dlań rzuciłam się w tłum, w wir walki, łamiąc najsilniejsze zapory i przebojem pcham się naprzód...

A trudne to „naprzód”, bo sam pan widzisz, jak wałą się na mnie pociski.

Zarzucają mi naprzykład dziennikarze, że w tej lub owej partji szukała zajęcia, a to w Chicago jest zbrodnią...

Nierozsądni! Dobrze że ich dla swych celów pokierował ktoś na silne stanowisko, ale, jeżeli się pragnie pracować nie dla partji, a dla dobra ogółu, czyż nie słusznie, aby każdą siłę tego ogółu poznać?

Jacyż oni ci świeczniki chicagoscycy ograniczeni... Jakież fałszywe mają pojęcie o pierwszych próbach biednego, bez środków do utrzymania literata.

Każdy inny artysta może dowolnie czerpać i zbliżać się do obcych żywiołów, tylko artysta literat wśród polonji chicagoskiej, ma spętana wolę...

Śpiewu, muzyki, malarstwa, wolno ćwiczyć się u obcych mistrzów, tylko pisarz społeczeństwa polskiego w Chicago musi wprawiać pióro w „danej partji” i następnie tylko tej partji służyć.

Idjoci!

Zbrodniarze moralni! Oni tu obcinają skrzydła wolnym ptakom, artystom, pisarzom przez co wstrzymują rozwój polskiej literatury w Ameryce.—A pole tej pracy szerokie— a gleba bogata!

Wtedy dopiero podniesie się duch polskich pokoleń na obczyźnie, gdy na jego tle

rozwinie my twórczość.—Pracę, łzy, tęsknotę, wszelkie usiłowania tułaczów powinniśmy ubrać w nieśmiertelną szatę twórczego piękna, a ta, nie tylko relikwijną świętością stałaby się pokoleniom tu zrodzonym — lecz ich wiarą. Tylko literatura odtworzona na tle tutejszem—podtrzyma w następnych pokoleniach polskiego ducha.

Pan wzdrygnął się na moje zbyt dosadne wyrażenia? O—panie! za te katusze, jakie ja tu przeszłam, niema dość dobitnych wyrażzeń na określenie podłości moralnych zbrodniarzy.

Ale wracam do moich przygód: Odpychana wszędzie, rozpoczęłam znękaną pracę na własną rękę. Może mi to było przeznaczone, bo widzisz pan przeszłam już co najgorsze, zahartowałam się, silna zrobiłam się pracą, z dumą patrzę na usuniętą mą ręką przeszkody, i dziś, pewniejsza jutra, z spokojem wspominać mogę o tem czarnem „bez słońca i chleba wczoraj.”

Romiński zamieniony cały w słuch, podniósł dłoń ku wilgotnym oczom.

„Bez słońca i chleba wczoraj.”

Wszakże i on był wczoraj bez słońca i chleba.

Cisza trwała chwilę: Śnać w skupieniu

oboje obejrzeni się za siebie na czarne wczoraj...

W pragnieniu wiedzy, o głodzie—podjęła dalej p. Łaż—weszłam wśród czarnej nocy na pole leżące odłogiem, ale głos wewnętrzny by iść naprzód — był tak silny, że m opanowała znużenie ducha i ciała. On to rozniecił we mnie tlejącą jeszcze iskierkę miłości i przy jej to mdłym blasku rozpoczęłam pracę.

Dziś już świta...

Jutra me lata nie doczekają... lecz jestem pewną że wschód słońca, dla którego blasku kilku już pracuje, ukaże kwitnące pierwsnki zasiane mą ręką, na okarczowanem przezemnie polu.

Westchnęła ciężko i chwilę płakała cicho, a potem ciągnęła dalej.

Wątpię, czy którakolwiek z literatek miała do przebycia takie zapory. Najlepsze moje usiłowania obrzucano szyderstwem.

Pracy!...

Pracy przy piśmiennictwie jakże jej pragnęłam. Ona miała być treścią i osłodą resztek mego życia. Za jakąbądź cenę zdobyć ją chciałam. Tylko niestety jedyną cenę jaką nałożyć mogłam, to chęć tej pracy i ukochanie jej. A na moje nieszczęście, w usiłowaniach moich dopatrywano się wszystkiego

złego, wszystko w nich widziano oprócz chęci pracy i tego smutku co mi duszę całunem grobu okrył.

Staralam się zbliżyć do redaktorów, posądzano mnie o kokieterję...

Aby się uwolnić od podobnych podejrzeń, dodałam sobie kilka lat i zrećcznie rozgłaszałam stateczny wiek, co mi znów wyszło na złe... Sławetny zarządca Zw. pism, którego zresztą słyszałeś pan, jak mnie traktował — odezwał się do mnie pewnego razu: — „Gdybyś pani była młodszą z piętnaście lat, może znalazłoby się u nas jakie zajęcie.” — Mówię panu szczerze, że tomy całe możnaby zapisać, streszczając moje przejścia w Chicago. — Pojmujesz pan teraz, że pojęcia moje, przeszedłszy taką szkołę — musiały wyrobić się odrębne.

Chciałabym jeszcze poszczególnie opowiedzieć panu o niektórych chicagoskich indywiduach, których możnaby porównać do tłoczących kamieni. Może znajdziemy kiedy chwilę czasu, to panu opowiem, dziś mamy jeszcze zajęcie, a rąk opuszczać nam nie wolno, trzeba z pracy korzystać, — zanadto wryło się w pa mięć — „bez słońca i chleba wczoraj”.

XXII.

Ciężkie kamienie czyli Chicagoska inteligencja.

Rozciekawiony Romiński, przez następnych kilka dni upatrywał spokojnej chwili, aby znów zacząć przerwany temat rozmowy. Ciekawy był poznać chicagoskie stosunki już to dla ich charakterystycznej cechy, już to, by być świadomszym miejscowych ludzi, w razie potrzeby zbliżenia się do nich.

Ucieszył się też, gdy pewnego wieczoru zatrzymała go wydawczyni i rzuciwszy się w wygodne biegunowe krzesło zaczęła: — Obiecałam opowiedzieć o rzuconych mi pod nogi ciężarach,—chcesz pan słuchać?

— Jestem gotów — brzmiała odpowiedź i Romiński zajął również wygodne miejsce, przewidując dłuższy odpoczynek.

— Pierwszym—był zawód jaki zrobił mi

katolicki zarządca, który podjął się wykonania drukarskich robót mego pisma na pierwszego marca. W ostatniej chwili, gdy oczekiwałam gotowej—zerwał umowę. — Cofnął przez to moją pracę o cały miesiąc wstecz, naraził mnie na utratę tymczasowego dochodu; zaś najgłówniejsze, pograżył mię w czarną rozpacz, bo na dopełnienie czary goryczy, miałam w tym samym czasie, chorego w domu syna.

Pod obuchem tego ciężaru pochyliłam się tak nisko, żem po raz pierwszy w życiu wzywała pomsty Boga...

Ciężki to był kamień... włoczył mnie on w bagniste niziny. Nie dziś jeszcze opowiem, w jaki sposób przeżyliśmy z moim chorym, następne dni.

— Wiem, że krzywda moja takimże ciężarem spadnie kiedyś na serce tych, którzy mnie w nieszczęścia chwili krzywdzili.

— Przybyłam tu, pewna ufności w wydawnictwa, że podejmą mą pracę, pomogą i pchną łaknącą światła na szersze drogi; bo wierzyłam, że płomienne słowa miłości bliźniego i wskazówki szlachetnych dążeń głoszące w ich pismach — są odbłyśkiem własnych uczuć. Niebawem przekonałam się, że polsko-amerykańskie wydawnictwa, to maszyna bez czucia pędzona parą innej maszyny.

— Ale wracam do mej opowieści.

— Po zagojonym bólu spowodowanym ciężarem pierwszego kamienia, znów szukałam na ciemnej drodze przejścia dla siebie i pisma.

Znalazł się wreszcie amator druku kobiecego wydawnictwa i... omdlała nadzieja ożyła.

Zaczęła się praca: czasem osłodzona życliwym słowem, czasem ukazywała się w niej radość i urok—to na przemian smutek i zniechęcenie. A wszystko trzeba było pokrywać swobodą i dostrajać się do ogólnej maski fałszu.—W taki sposób, zjednywałam zwolenników pisma. Trzeba panu wiedzieć, że wśród publiki podzielonej na organizacje, a co za tem wypływa na partje, utrzymanie pisma bezpartyjnego, jeżeli nie posiada się tysięcznego nakładu, jest wprost niemożliwem, a trudniejsze jeszcze warunki istnienia pisma kobiecego. Nasze prostaczki nie odczuwają potrzeby takiego pisma, tu wystarcza dział kulinarny, dany raz na tydzień łaskawie w męskich pismach.

Trzeba więc było początkowo pismo ofiarować darmo czytelnikom, a z innych źródeł czerpać dochody na utrzymanie. Jak pan wie, głównym źródłem podtrzymującym pisma w Ameryce są ogłoszenia, na to więc pole idąc drugich śladem także się rzuciłam.

Pewna, że inteligencja najłatwiej mnie zrozumie i poprze, zwróciłam się do niej. A że w Chicago pierwszym numerem inteligencji zwa lekarzy, do nich więc przedewszystkiem skierowałam ufną myśl. Ci, w dowód przychylności doradzili mi udać się o poparcie do całego Stowarzyszenia lekarzy, obiecując każdy ze swej strony sprawę szczerze poprzeć!
!...

Coby nie?...

Do obietnic każdy Polak skory!..

Zwróciłam się zatem po ogłoszenia, nie tylko z pewnością, ale z całą otuchą do Sz. Stowarzyszenia.

Trzeba mego fatalizmu, że należało tam trzech drabów, którym nie podobał się napisany kiedyś przezemnie artykuł.

W Stowarzyszeniu lekarzy, inteligentni ci draby, ośmielili się stwierdzić, że ponieważ moje poprzednie nowele były osnute na tle religijno narodowem, a więc ich mniemaniem na tle wstecznem, nie warta przeto praca moja poparcia. Ogłoszeń więc odmówiono.

I co pan na to powiesz? Z całej tej inteligentnej hołoty nie znalazł się ani jeden, któryby stanął w obronie religijno-narodowych uczuć!... a przecież w Stowarzyszeniu tem przeważa liczba lekarzy mieniących się Polakami katolikami.

Górowała zatem znajomością krytyki literackiej i głębokości poglądów — arogancka trójka drabów, ciesząc się wyższością nad ograniczonym rozmiarem umysłu współtowarzyszy i zwycięstwem nad bezbronną kobietą...

Co mnie nieraz najwięcej bolało to—to, że ludzie wydawali sąd jedynie w chęci dokuczenia, bez najmniejszego zastanowienia się. A przecież nic tym ludziom złego nie uczyniłam. Pytam się jeszcze dziś, za co oni się tak mścili,—za trochę talentu, który szukał ujścia drogi? Wszakże nikt nie chciał wziąć go na swoją, więc musiał szukać sobie swej własnej. — Wolnomyślni naprzykład znajdowali w mych utworach zbyt wiele tendencji religijnej. Religijni zaś, nazywali je bezwyznaniowemi... Więc obrałam nową drogę i szłam wbrew wszystkim zaporom, wbrew wszelkim pociskom, jakie się na mnie waliły.

Siostrzane pismo, najpoważniejsze, które przynajmniej mogło dodać odwagi, prowadzone wówczas przez cielę trzymane na czerwonym pasku, też beknęło jakiegoś „izmu” zazdrością.

To samo cielę, nazywające utwory religijno-narodowej treści „rozsadnikami ciemnoty”, w kilka miesięcy później starało się

dla siebie o posadę nauczycielki w parafjalnej szkole. (!)

Widzisz pan takie indywidua ośmielają się rzucać krytykę na ludzi pracy. Takie podłe gadziny śmia się nazywać zwolennikami „miłości bliźniego”. Piękny przykład dali na mnie nieprawda? Obdarli mnie z wszelkiego piękna, zbeczcścili, rzucili we mnie podłością za uczucie religijne, a ono to właśnie wiodło mnie przez ciemność życia ku światła wyżynom.

Gdym przez złość ich padała pod krzyżem cierpienia, o jedną tylko łaskę prosiłam Boga, a tą było by Bóg zachował mi talent, iżbym kiedyś jako odwet mogła go odbić na czarnem tle dusz mych prześladowców.

Pan szeptę coś o litości?

Nademną się nikt nie litował! Dla zbrodniarzy, którzy nietylko że wydzierają od ust konającego ostatnią ożywczą kroplę, ale rzucają się jak wampiry na poległych w walce, bez względu czy ci drgają jeszcze życiem—nie ma litości!—Niechby tylko jedna boleść, jedno upokorzenie z tych wielu, jakie ja z ich przyczyny przeszłam, szarpnęły ich jestestwem, to będę pomszczoną i — wówczas przebaczę. Te przykrości które wymieniłam, to tylko maleńka cząsteczka z tych wielu, które codziennie spotykałam. Ileż razy w rozpaczy patrzałam w to światło, co jasne kręgi

zatonęło przedemną i wiodło mnie na lzy i upokorzenie. Wierna mu o głodzie i chłódzie szłam za nim, aby w nagrodę — odbierać szyderstwo. A ile razy stanęłam w zwątpieniu, tyle zawsze razy przewodnie me światło, jaśniej ku mnie błysnęło. Ale cóż z tego, skoro ujęte w formę, nie znalazło wśród naszych znawców odbłyску.

Gdyby nie słowa uznania płynące ku mnie z prostaczych serc, byłabym już dawno zbrodnią własnego ja—przypieczętowała obojętność i podłość chicagoskich świeczników.

Zakryła dłońmi twarz, a po chwili prosiła Romińskiego, aby zostawił ją samą. — Śnać potrzebowała samotności by uspokoić wzburzone wspomnieniami fale.

Poruszył się osad na dnie duszy i zmaćcił na chwilę jej powierzchnię.

XXIII.

Jeszcze o tem co boli.

Kilka następnych dni tak dla Romińskiego jak i dla p. Łaż — przeszły w milczeniu.

Romiński w obawie by nie dotknąć otwartych ran wydawczyni, nie odzywał się wiele, ta zaś, widocznem było, w milczeniu opanowywała wywołany opowieścią ból.

Ale mimo wysiłku panowania, ból wzma- gał się, więc na usta cisnęła się skarga, — aż któregoś wieczoru popłynęła, znów łkaniem i przejmującego żalu słowy.

Romiński dnia tego z powodu lejącego deszczu, ociągał się z opuszczeniem biura. Smutno było na dworze, jak smutne były dusze dwojga rozbitków...

— Ponury dzień — ozwała się wydawczyni, przy takiej słońce zwykle odgrywa się w mej duszy dramat ubiegłego życia. — Usiądź pan —

pogawędzimy. Niech spadną mi z serca resztki żalu, jak krople spływającego po szyb przezroczu deszczu. Może po wylewie nastąpi spokój,

Do „kamieni” znanych już panu—ciągnęła dalej, wypada jeszcze doliczyć literatki, przybywające tu ze starego kraju. Te, nieświadome stosunków, obce wśród naszego odłamu, spostrzegłszy we mnie nowy objaw, nowy prąd dla społeczeństwa, nie żałowały mi wszelkiego rodzaju niesławy. Czyniły to wprawdzie skrycie. Na każdym kroku starały się zohydzić moją pracę. Nikczemne ich usiłowania, nie warte nawet miana przekupek, a nie literatek.

Jakkolwiek wiedziałam, że sztuczne te szermierki pracują nie dla oświaty, nie dla podniesienia ludu, ale dla własnego blichtru, zaprosiłam je jednak przy założeniu pisma do współpracy. Sądziłam iż pismo to stanie się tłem odbicia kobiecych myśli.

Czy pan uwierzysz? te głośne szermierki posyłające swe utwory do męskich pism bez pretensji nagrody, odemnie, przedewszystkiem żądały zapłaty i to z góry jeszcze przed wydrukowaniem.—W taki to sposób powitały literatki starokrajskie pierwszą literatkę polsko-amerykańską;—w taki sposób okaza-

ły swoją wielkoduszność. A Bóg mi świadkiem, żem po nich spodziewała się najwięcej.

Trudno im zapewno pogodzić się z faktem iż znalazła się kobieta w Ameryce, która ośmiela się ukazywać piękno tam, gdzie one widzą tylko brzydotę. Bowiern wiadomem jest, że każda przybyła ze starego kraju literatka, zozpoczyna swą śmiertelną pracę—wytykaniem błędów amerykańskiej Polonji. Czyny wygnańców, które laurą sławy wypadałoby uwiecznić, potępiają, albo okrywają milczeniem. Szydzą z mozolnej pracy, skropionej tułaczemi łzami, szydzą z nieświadomego pospółstwa. Ileż to razy dało mi się słyszeć z ust owych literatek: Niech pani pracuje, skoro tak kochasz tutejsze społeczeństwo, ja bo je nienawidzę.

A im więcej słyszałam takich zdań, tem więcej kochałam tę tułaczą rzeszę i ich słabe duchem pokolenie, — tem więcej pragnęłam otulić ich serdecznem ciepłem miłości i jak ku dziecięciu stawiającemu pierwsze kroki, wyciągnąć troskliwe ramiona.

Zazdrośnice zaś, w obawie utraty małodusznej przewagi nad niewyrobioną opinią kobiet, zozydzały mnie po cichu w wszelki możliwy sposób.—W zaciekłości swej przeoczyły, że nie rywalkę we mnie by miały, ale oddaną współpracownicę. Przeżywszy tu więk-

szą część życia, znam nasz lud, potrafiłabym utworami mojemu poruszyć grunt, na którym one, z świeżo przywiezioną wiedzą z ukochanego kraju, łatwo-by mogły wszczepiać, wyższych pojęć literaturę. — Snać do zrozumienia takiego, nasze wielkomałe literatki jeszcze nie dorosły. Więc i tu zamiast spójni—wynikł rozłam. Zamiast wspólnej pracy, wynikła wspólna ku sobie niechęć.

Nieraz zapytywałam siebie, co nas właściwie różni, i po debatach przychodziłam do przekonania, że główną różnicę stanowi odmiennie zapatrywanie się na nasz ogół. Tam gdzie ja dostrzegałam piękno, one uważając je za brzydotę, ze wstrętem odwracały oczy.

Pewnego razu naprzykład, zmęczona bieganiami za kolektą za pismo, wypoczywałam w bocznym pokoju u pewnej pocziwej kobieciny, gdy od frontu weszła do niej jedna, z wielkomałych literatek w sprawie Towarzystwa.

Pocziwa kobiecina była to jedna z tych, jak mówią—„Bogu ducha winien”. Cały świat mieścił się w domu i dobrze jej z tem było. Polak i Katolik to żywota drogowskaz, którego sercem i duszą się trzymała. W kościele nauczyła się, jak być katoliczką, a matka wpoila, jak być Polką. Tu się urodziła, nie widziała Polski, nie znała smutku i pięk-

na polskiego narodu, a jednak uczucie jego, hodowała po swojemu na dnie serca, jako najdroższy skarb.

Wielko-mała literatka po załatwieniu sprawy, rozejrzawszy się po pięknie i wygodnie umeblowanym pokoju, wnosząc z tego o możliwości właścicielki, uważała za stosowne wejść w bliższą znajomość. Pomiedzy innymi zapytała małą odzywającą się pocziwinę — jakie książki najchętniej czyta.

Z naiwną szczerością przyznała się pytająca, że nad wszystkie przenosi Genowefę i Różę z Tanenbergu.

Zgorszona odpowiedzią apostołka górno-lotnych świateł, zaczęła strofować kobietę za taką lekturę i przedstawiać jej pożyteczność czytania „Dziadów” Mickiewicza. Olśniona własną wymową wpadła w krasomówczy ton i nawet zadeklamowała kilka ustępów z zachwalonego dzieła.

Zmęczona wreszcie, dla odpocznienia, rzuciła kobiecie:— Jak się to pani podoba? Co pani na to?

Jo, — odparła amerykańskim akcentem pytana— to fajne jest. Żeby ten pon, co tak pisze, przysłał nam tu swoich książek— to by my też czytali.

— Na tego pana mówi się — poprawiła wielko-mała literatka — sławny poeta. A trze-

ba wam wiedzieć, że ten sławny poeta już nie żyje.

— Szkoda—wtrąciła pocziwina, — fajny widać był człek. Wieczny odpoczynek racz mu dać panie, a światłość wiekuista niech mu świeci na wieki wieków.

Zainteresowana szczegółną rozmową, zerwałam się z sofki na której wypoczywałam, i zbliżyłam się do drzwi, by przez dziurkę od klucza popatrzeć na krańcowe bieguny pojęć w postaci dwóch kobiet.

Uchwyciłam zgorzony wyraz twarzy literatki, wywołany szczerą modlitwą amerykańskiej polki, a potem połał się potok gorzkich wymówek na brak uczuć narodowych w polkach, zrodzonych na amerykańskiej ziemi.—Na wspaniałe domy, na aksamitne fotele, macie pieniądze, tylko na dzieła polskich pisarzy nie macie—prawiła wyniośle.

Zawstydzona kobieta broniła się nieśmiało, aż zraniona wreszcie w narodowym uczuciu, dała mu też ujście.

— To tak źle nie jest, jak pani myśli, tych książek w domu nie mamy, bo nie nasz rozum na nie, ale my choć nie umiemy się tak ładnie wysłowić, ale w sobie mocno czujemy polskość. By God, it is true! Jak my usłyszeli, że będą stawiać maniumenty Pułaskiemu i Kościuszce, to my z moim aż płaka-

li z radości i posłałam do prezydenta garstkę polskiej ziemi, co nam matka na śmiertelnem łożku w spuściznie zostawiła. Zapłaciłim za ten dar dany Polakom—najdroższem czem my mieli.

Wielko-mała literatka zachnęła się:—I co to znaczy? skoro nie wiecie, kto był Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i tylu innych polskich pisarzy.

— Toć nie wiemy, ale jednak polskość odczuwamy.

— Nic nie wiecie! — trajkotała dalej rozrytowana apostołka.—Jesteście straconym narodem dla Polski, wstyd polskiemu imieniu przynosicie. Jakiż wy język macie...

Przeświadczona, że wniosła pochodnię wielkiego światła w zamerykanizowany polski dom, z namaszczoną godnością opuściła progi—„Bogu ducha winnej” kobiety.

I ja go wkrótce opuściłam, z poszanowaniem i nowem światłem, cisnącem się w myśl moją...

Przez kilka dni stawiałam sobie pytanie, ażali wszystkie dzieła Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego wyrobiłyby większą miłość ojczyźnej ziemi w poczciwinie nad tę — którą okazała?...

Innym razem, byłam świadkiem gdy do domu wbiegł wzburzony 10-letni chłopiec, a na

troskliwe pytanie matki o powód wzburzenia odpowiedział, że wstawiał się za Paderewskim u przełożonych biblioteki, gdzie pod podobizną mistrza tonów, obok nazwiska, znajdował się dopisek—rosjanin.

— To jest nasz, Polak—kończył podniecony chłopiec, jak oni śmiały fałszywie podpisywać.

I tu nowe światło wpadło mi do duszy—mówiła pani Łaż. Przez długi czas snuło się w niej:—„Dajcie zmarłym wieczne odpocznienie, a z żywymi idźcie naprzód! Z żywych czynów twórzcie dzieło odrodzenia!”

A jeszcze innym razem, podczas mych wędrówek zaszłam do domu, gdzie nieobecnej gospodyni spodziewano się lada chwilę. Wyjechała była jeszcze rano za sprawunkami do śródmieścia, więc czas już był najwyższy powrotu. Czekałam chwilę odpoczywając a niebawem weszła oczekiwana. Zmieniona jej twarz zakłopotwała matkę staruszkę, jako też i resztę domowników. Po naleganiu wyznała co ją tak wzruszyło.

— Wykupiła z lombardu ceną polską pamiątkę; zapłaciła za nią znaczną sumę, ale—tłomaczyła matce—Matko, ja nie mogłam dozwolić, aby ta rzecz dostała się w obce ręce.

— Dobrześ dziecko zrobiła, niech ci Bóg za to błogosławi — brzmiała odpowiedź staruszki.

Takie ciche dowody patryjotycznego uczucia spotyka się tu na każdym kroku. Język łamany amerykański, ale serce i dusza polskie.—To kwiaty wyrosłe na obcym polu, któreby zdało się zebrać w wieniec nieśmiertelny i przekazać pokoleniom na wieków pamiętkę.

Nie rozumieją oni Mickiewicza ani Słowackiego, tym dalekim mistrzom, co najwyżej w dowód uznania dadzą „wieczny odpoczynek” ale zrozumieliby literaturę stworzoną dla nich—na ich życia tle.

Takim tylko sposobem dałoby się podtrzymać narodowego ducha na obczyźnie. A więc powinniśmy skupić siły na tworzenie takiej literatury, i na rozbudzenie zamiłowania do niej tutejszego pokolenia.

Tą ideą przejęta, wytknęłam sobie drogę i nie zważając na pociski tych, którzy raczej pomódz powinni mi byli—idę naprzód.

Cisza trwała chwilę, ale Romiński nie nasycony jeszcze wiadomościami, przerwał ją:— A Zw. Polek jak patrzy na pani pracę?

— Przez okulary różnego koloru. Związek Polek, a nawet Wydział Oświaty jako taki, nic nie zrobił dla pierwszej polskiej literatki na obczyźnie, ale w łonie Zw. Polek są szlachetne kobiety, które jeśli nie zrozu-

miały to sercem mnie wyczuły i te osobiście wiele mi pomogły.

Miałam może licząc, na niedoświadczone a zawsze dobre kobiece uczucia, odwołać się w wydziale oświaty do ich litości? prosić o protekcję? Nie! przenigdy tego nie uczynię! Moja praca albo musi doznać uznania, lub upaść zupełnie! Handlować nią za przelotny błysk tryumfu nie będę! Albo świecić stale, lub zgasnąć na zawsze! Dwie tylko znam ostateczności;—pośrednia droga nie dla mnie.

Znowu nastąpiła cisza, ale Romiński miał jeszcze w zapasie ciekawość, poruszył się więc nieśmiało, a następnie bardzo cicho jakby z trudnością, wykrztusił: —A kler?

— Od kleru w Chicago jeżeli nie doznałam wyraźnej życzliwości, to i przykrości także nie. Chicagoscyc nasi księża, pod względem uprzejmości i taktu stanowią wyjątek w Stanach Zjednoczonych, a przebywałam w różnych miejscowościach po kilka lat. Nie popierają oni mego pisma, ku czemu mają może swoje powody, ale w każdym razie imienia mego dotąd nie szarpali.

Widzisz pan, ja — zbliżyć się do kościelnych ideałów, jako kobieta-człowiek—nie mogę. Nie ma tam doskonałych ideałów, bo niema równouprawnienia kobiet. Najdosko-

nalszy znany dziś ideał, to równy wobec Boga i ludzi człowiek!

Dla tej więc przyczyny uchylam czasem zasłony tajemnic kościelnych, czasem dotknę złej strony zazdrosnych sług bożych, a po za tem spokojnie oczekuję reformy, która rychlej, czy później nastąpić musi.

Pracujmy cicho, wytrwale, z nadzieją zbierania plonu. A nie zbierzemy my, zbiorą go inni,—my siejmy.

Na tej nadziei skończyła się rozpoczęta bólem skarga.

XXIV.

Przed przyjściem Króla.

Było blisko świąt Bożego Narodzenia. Otulone w szary płaszcz nieba bezgwarne dnie, przesuwały się ciche, jakby w milczenia powadze, oczekiwały przybycia dostojnego gościa. Lśniący szron, ni to srebrem tkany dywan, rozścielił się na ziemi, zlodowaciałe na drzewach i dachach krople wody, spojone w kryształu freskach, tworzyły tryumfalne bramy, a ludzie z błyskiem radości w twarzy wymijali się szybko, biegnąc jedni do domów ze sprawunkami, drudzy za zakupem — by mieć czem przyjąć godnego Pana.

Gorączkowy ruch i niepokój na ziemi, okryty szarą szatą obłoków — tłumiony jest milczeniem. Zamilkły śpiewy, muzyki, ustały tańce, zato w ciszy tej, donośniej roz-

brzmiewają dzwony — dźwięcząc imieniem „Błogosławionej między niewiastami“...

„Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z Tobą i błogosławion owoc żywota Twojego Jezus“

Słowa te rozlegają się w kościołach, w domach—w ludzkich duszach.—Pozdrawiają ludzie błogosławioną między niewiastami i owoc Jej żywota, którego rocznicę narodzin gorączkowo oczekują.

Zbliża się upragniona chwila, bo oto niebo rzuca już na ziemię białe kwiaty śniegu...

Na znak ten, w mgnieniu okrywa się ziemia niewinności szatą i cicha, skupiona w sobie, strojna w śnieżny welon, czeka Oblubieńca i Króla...

Stojący w oknie swego pokoju Romiński, z ściśnionem sercem obserwuje uroczysty ruch nieba i ziemi. Smętna powaga, jakby dla dopełnienia ogólnej harmonji, osiadła mu na twarzy. Lodowe zimno cierpieniem wycisło freski i na jego duszy, a śnieg właśnie przed godziną, dostrzegł pierwszy na skroniach...

Jednak mimo podobieństwa do nastroju zewnętrznego świata, dzieli go odeń sam cel. Świat czeka przyścia swego króla, a on?

Bezsterny, bezgwiazdny mocuje się w swej

łodzi na rozhukanych bałwanach różnorodnych pojęć.

Wie on, co to za Króla czeka ziemia i, chociaż oddalony od brzegu, nie w takiż sposób jak inni, odczuwa Jego przyjście, nie mniej święte Imię ma ciągle przytomne w duszy, gdzie zimnego życia freski spoiły się odbiciem najbogatszej korony — korony cierniowej!...

Czy ukoronuje on nią kiedy jaki ideał? Czy wystygłe serce zadrży dotknięte silniejszym uczuciem? Czy ubielony włos otoczy gwiazda nowego życia?

Zniknęło wszystko bezpowrotnie...

O — wiosno! zawołał — leżysz skostniała pod śmiertelnym całunem smutku.

O — młodości! zniknęłaś złamana przedwcześnie!

Gdzież zapały? W co obróciły się marzenia?

W śnieżne kwiaty zdobiące skronie, i w łez kryształ mrozące duszę?...

O martwa ziemi! tyś szczęśliwsza ode mnie. Na powierzchni Twojej, w radosnych domach na drzewie wiecznej zieleni, zapłonie wkrótce światło, w kościołach rozlegnie się „chwała“ i na zimną twą powłokę z szczytu szczytów, spłynie dzień narodzin Króla.

O martwa ziemia — zazdroścę ci! Na zieleni mego drzewa nie zapłonie światło, — ze smutkiem powitam dzień Króla. Opadła zieleń z drzewa mego żywota i niema na czemby światło umieścić.

O — ideały! — O — królestwo moje! Nie spłyniesz ty do mnie, choć białe kwiaty wieńczą mi skroń.

Z smutnemi temi myślami—patrzył ciągle na ulicę—na zmieniający się bezustanku ruch. Płatki białych kwiatów przestały padać, słońce wyjrzało wesołe na ziemię, na co Romiński zakrył dłońmi oczy i odwrócił się od okna, aby nie widzieć igrających promieni.

Dla niego nie było słońca. Złodowaciej duszy nie dochodziły żadne promienie.

Uprzytomnił sobie, szczęście ogniska domowego, płonące światło na zielonem drzewie... dziecięce głosy...

W jego duszy nie zapłonie szczęścia światło...

Tak dumął Romiński. Ale wyroki Boże są niezbadane... Kto wie, czy pierwszy śnieg na skroniach nie jest zapowiedzią zbliżającego się królestwa..

Z dawna już szedł do niego Król dając nawet silne zbliżania się hasła, ale Romiński głuchy był dotąd na nie...

Dnia tego roztkliwiał się nad miarę. Przyczyną było już to wspomnienie świąt, niosące w radości swej dla każdego samotnika podwójny smutek, już to dostrzeżone srebrne smugi na skroniach, a zresztą od kilku dni nosił się z zamiarem porzucenia pracy, co ze względu na szczerść chlebobdawczyni—rozstrajało go.

Potrzebował gwałtownej zmiany, czuł, że w obecnem położeniu niewieścieje, a tego bądź co bądź nie pragnął. Trzydzieści lat jeszcze nie skończył, więc życia kawał leżał przed nim do przebycia. Srebrny szron na skroniach jaki spostrzegł tego rana był zapowiedzią starości, którą zoczywszy blisko siebie, chciał choćby tylko na niejakiś czas odsunąć.

W ostatnich dniach powziął był myśl wstąpienia do wojska.

Pomimo szacunku, jaki wyrobił się w nim wreszcie do dążeń niewieścich, pomimo życzenia kobietom w ich walce zwycięstwa, sam nie czuł zapędu do ich pracy.

Tego rana gdy spostrzegamy go w oknie, pod naciskiem tłoczących smutkiem uczuć, postanowił nie zwlekać, jeno zamiar natychmiast wykonać. — Opuścił przeto mieszkanie z postanowieniem jeszcze tego dnia zamiar swój oznajmić p. Łaż.

Umyślił opuścić Chicago dopiero na Nowy Rok, aby przez ten czas dać możliwość p. Łaż postarać się o kogoś na jego miejsce. Zatopiony w ponurych myślach przebiegał ulicę, dążąc do biura.

Wymijał kościół św. Trójcy, gdy przez uchylone drzwi doszło go różańcowe „Błogosławionaś Ty między niewiastami”...

Uprzytomnił sobie teraz wyraźniej, że był to czas adwentowy,—czas, gdy ludzie skupiając się w niewieściej modlitwie, oddają hołd „błogosławionej” przed przyjściem Króla...

Szczególna myśl go uderzyła...

Czyżby obecna praca niewieścia była zapowiedzią zbliżającego się królestwa bożego na ziemię?...

Czyżby hołd oddawany już ich błogosławionej pracy — był zwiastunem zbliżającego się owocu ich żywota?..

Jakieś prorocze światła go przeszły...

Posunął się szybko dalej, aby wmieszany w tłum, łatwiej się mógł oprzeć bezpodstawnym rojeniom.

Za chwilę był w biurze i stanowczo oświadczył pryncypałce, usunięcie się z zajmowanego stanowiska.

Wydawczyni rezygnację przyjęła dość obojętnie zaznaczyła tylko, że korzystając jeszcze z jego obecności, chciałyby na dwa ty-

godnie wyjechać za interesem do Milwaukee Wis.

Jakoż w dwa dni później była gotową do drogi.

Romiński zdawał się być mocno przygnębionym, co uderzyło wzrok i serce p. Łaż. — Kobiecej przenikliwości nic nie ujdzie, zwłaszcza tam, gdzie połączona jest z troskliwością. To też pragnąc choć w części złagodzić jego zmartwienie, na odjezdnem otworzyła drzwi przyległego do biura pokoju, do którego jak to już nieraz Romiński zauważył, nigdy nikogo nie wpuszczała—i rzekła:—Tu jest moja świątynia. Jeżeli przypadkiem napaśnie pana smutek—wejdz tu otrząsnąć się z niego.

Pożegnała go potem życzliwie, a za chwilę była w drodze do Milwaukee.

Przeznaczenie.

Nie, ażeby ulegając troskliwemu rozporządzeniu wydawczyni, chciał jej woli zadość uczynić, ale więcej z ciekawości, Romiński zaraz po jej odjeździe, wszedł do tajemniczego pokoju.

Na razie nic osobliwego go w nim nie uderzyło. Był to zwyczajny bawialny pokój z porozwieszanymi w nieładzie, na sposób amerykański, obrazkami, i pamiątkowymi ozdobami. Większe tylko zainteresowanie obudziły w nim porozlepiane wszędzie na ścianach drukowane wycinki. Do tych też podszedł bliżej i na najpierwszym przeczytał: „Głośniej niżli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy; i kto w sercu ucichnie zaraz go usłyszy”.

Zamyślony głęboko nad tą prawdą zbliżył się do innego wycinku, na którym znalazł te słowa: „Wiele jest prawd w piśmie; lecz kto o nie nie pyta, niech sam zostanie pismem;—w sobie je wyczyta”.

Zadumany, rzucił się na stojące w rogu krzesło i jał czytać w sobie to pismo, co cierpieniem ryte przez ostatnie lata, utworzyło ciężkie dzieło tułaczego żywota. Było ono oznaczone bólem, pokorą, nędzą, a przebijało silnie światłem wiedzy. Ale wszystko to, otulone w jakąś mgłą lśniąca poezją, przez którą czasem wydobywały się dźwięki nieuchwytnych tonów, było czemś niedoścignionem, czego nie mogąc zrozumieć pogrążał się bezradny w wegetację, której objawem był rozpaczny smutek.

Tak dumając, przerzucał jedną po drugiej karty dzieła swego żywota. Przypuszczał, że ma ono przeznaczenie, że powinno być oddane ludziom na pożytek, ale w jaki sposób je wydać—był na to bezradny.

Minęła już cała godzina. Romiński to wodząc wzrokiem po ścianach na słowach mędrców, to zapuszczając myśl w komórki własnego ja — obojętny był na czas. Tajemnicza cisza, jaka panowała w pokoju, zaczęła wnikać w zbuntowane zakątki duszy.

Po chwili, mimowoli podniósł się, podszedł raz jeszcze do miejsca, gdzie pierwsza prawda go spotkała i raz jeszcze przeczytał: „Głośnij, niżli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy; i kto w sercu ucichnie — zaraz go usłyszy.” Westchnął przy tych słowach, jakby wyrzucał z serca ostatni szmer buntu przyczem bezwiednie podniósł wzrok wyżej na ścianę, gdzie, jakby umyślnie, licząc na obecną chwilę podnieconego ducha, zawieszony był krzyż z rozpiętym Chrystusem.

— O, Boże!—szepnął, w sercu mem grobowa cisza, przyjdź — a usłyszę Cię. Ozwij się jakimkolwiek głosem, a zrozumie cię.

W ogromie pragnienia świętości, niemy zawisnął wzrokiem na Ukrzyżowanym, tworząc w duszy modlitwę tak silną i świętą, jaką tylko uczucie, a nie słowo wyrazić jest w stanie.

I snąć dusza sięgnęła tych szczytów, gdzie ukojenie ma swoje królestwo, bo łagodniały mu rysy i zda się światło z nich biło...

Z jakimś szczęściem w sobie poddawał się przebiegającym go myślom i rozmarzony, rozjaśniony, znów usiadł na krześle.

Może ruch zmienił kierunek myśli, gdyż zaczął badawczo rozglądać się po pokoju i rozbierać pojedynczo każdy jego szczegół.

Spostrzegł skrzypce i trąbkę, wiszące na ścianie, na co zrobił sobie uwagę: Czyżby p. Łaż była muzykalną? bo i fortepian otwarty, jakby co dopiero dotykał ktoś jego klawiszy—znajdował się również w tajemniczym tem ustroniu.

Nagle, przypomniało mu się, że nie grał od owego fatalnego wieczoru, gdy to zamiast „Witaj Majowa Jutrzenko”, z pod palcy jego wypłynął pogrzebowy marsz Chopina.

Na wspomnienie to, zerwał się z krzesła i szybkimi krokami, mierząc wzdłuż i wszerz pokój, starał się powstrzymać pędzącą całą siłą bolesnego uczucia falę. I jakby naraz wszystkie wspomnienia, wszystkie bóle w nim ożyły, taki nawał uczucia weń uderzył!...

Przycisnął dłońmi bijące szybkim tętnem skronie, obłąkany niemal wzrok znów utkwiał w umęczonym Chrystusie i drżąc cały jak w walce śmiertelnej — zgiął kornie kolana.

Była to jedna z tych wielkich świętych chwil, które w słowa ująć się nie dadzą.

Może natchnienie spływało na biednego rozbitka, by ostatnią siłą ratunku wieść go do brzegu... W najwyższym bowiem naprężeniu wewnętrznej walki, gdy wyczerpane serce kruszyło się w pokorze, a oczy tonęły w boleści łzach, zerwał się z kolan i gwałto-

wnie dopadłszy klawiszy fortepianu uderzył weń taką złamaną duszą, jaką Chopin odtworzył w swoim pogrzebowym marszu. ...

Przyszedł Król...

Przemówił Bóg głosem muzyki.

Naciągniętą strunę życia dotknął prąd twórczy i zadźwięczała nową nutą.

Mijały godziny, a Romiński objęty światłem nowego królestwa, wcielał się weń. Żył chwilą wybranych... Dawniej muzykę znał, teraz ją zrozumiał.—Stał się częścią jej królestwa.

Ujął czarowną siłę dźwięków, przez którą da światu—światło swej duszy

Tego dnia, ani na sekundę nie pomyślał Romiński o interesie.

Dobiegł celu. Wszedł w krainę, której istnienie dotąd ukazywało mu się tylko w niezrozumiałych marzeniach, a do której to dążył przez całego życia ból. Odkrycie to, niemal pozbawiało go przytomności. Nie zdawał sobie sprawy, co się wokół niego dzieje, wiedział tylko, że nareszcie znalazł coś, czem będzie wydobywać najgłębsze uczucie, coś, co stanie się dla niego źródłem ukojenia, coś co wołało go do siebie przez wszystkie lata troski, coś, co było nim samym i naraz — zbudziło się potęgą.

Cały dzień, to uderzał w klawisze, to wsłuchiwał się w dźwięczące już wyraźnie w nim tony, to rozradowany jak dziecko uśmiechał się, to wąpiący — kierował wzrok ku Chrystusowi;—a i następne dni płynęły niemal tym samym torem.

„Biznesistka“.

Był wieczór. Romiński, który zakosztował rozkoszy muzyki, dotknął z kolei i zapomnianych przez długi czas skrzypiec, stał na środku tajemniczej świątyni, wydobywając smyczkiem tęskne lecące w dal tony „Na dolinie zawierucha mokrym śniegiem dmie.”

Zawierucha rzeczywiście szalała na dworze, podniecając melancholijne usposobienie grającego i pozwalając swobodnie oddać się muzyce — boć w takie powietrze, któż by chciał zajrzeć do biura.

Oddany cały swemu królestwu nie słyszał skrzypnięcia drzwi, przez które weszła wydawczyni.—Ta na głos dźwięków muzyki w ulubionym jej pokoju, stanęła nieporuszenie, wsłuchując się w nie chciwie,

Gdy przebrzmiały smutne skrzypiec tony „Na dolinie zawierucha”, a nienasycony muzyk zbliżył się do fortepianu i wydobył zeń akord silnych dźwięków, zrzuciła z siebie płaszcz i kapelusz, usiadła cicho przy stole i podparwszy głowę dłonią, z natężoną uwagą słuchała dalej; — odczuła mistrza. Raziły wprawdzie wzięte naraz po poważnej melodji — wesołe tony „Witaj Majowa jutrzeńko” ale p. Łaż nie dziwiła się temu, gdyż знаła trochę dysharmonję życia Romińskiego. — Uczucie zresztą, jakie wlewał w swą grę porываło za sobą, nie dając czasu na krytykę.

Gdy raptem potem wstał i wsłuchany jeszcze duszą w dalekie dźwięki, wszedł do biura, spotkał się z wzrokiem, który także w tej chwili — jakby zbłąkany, wracał z zamiejskiej wędrowki.

Zdawało się na chwilę że... spotkali się jak dwaj spragnieni pielgrzymi u jednego źródła.

Nie mówiąc ani słowa, Romiński usiadł z drugiej strony stołu i, po raz pierwszy obrzucał ją ciekawym wzrokiem. — Po raz też pierwszy przypomniał sobie, że pryncypałka była kobietą.

Ale też kobieta, czując na sobie ciekawy wzrok mężczyzny, przybrała naraz zimną maskę i otworzywszy leżącą na stole rachun-

kową książkę, zaczęła robić uwagi, a następnie strofować Romińskiego o niedbałość.

Romiński, bujając jeszcze połową w niebie, na uwagi te uczuł pewien rodzaj pogardy, której nie starał się nawet ukryć; twarz jego aż nadto wyrażała—„Myślałem, że ona rozumie... a to tylko zwykła „biznesistka”,—mają ludzie rację. — Na dalsze w tym tonie uwagi pryncypałki nie odpowiadał wcale; sięgnął następnie po kapelusz i z tą wyższością, która zdawała się mówić „gdybyś ty biznesistko pojąć była w stanie ten świat, w którym ja dziś żyję, nie zawracałabyś mi cyframi głowy”,—z pobłażliwością wielkiego człowieka, złożyłwszy zimny ukłon, opuścił biuro.

Pani Łaż czytała każdą jego myśl, gdy uchylił kroki, zerwała się z krzesła, weszła do pokoju, w którym przed chwilą duchy tonów gościły i z westchnieniem wyrzekła głośno:—Więc i on, któremu otworzyłam świątynię moją ma tylko uznanie dla mnie „biznesistki”?!...

Przypadła do nóg Chrystusa i łkając powtarzała: O Chryste, utul mnie! Korzę się przed Twoją boskością! O, Chryste, drogo żywota mojego, otocz mię opieką Twoją, bo upadam pod razami prześladowców i kołających niby włócznią słów. O — Chryste! Ty, który byłeś mi przez całe życie jedynym mo-

im opiekunem, nie odstępaj odemnie. Wiara w Ciebie, to jedyne światło jakie mi jeszcze świeci.

I pewno to światło zamigotało silniej w duszy, bo spokojniejsza usiadła potem na chwilę i goniła myśli, jakie spotkały tu Romińskiego i dały mu artyzmu moc.

Rozrzewnienie ją obejmowało na myśl, że ten kościółek jej marzeń powitał króla tonów, bo takim podniecona wyobraźnia mianowała już Romińskiego. Choć na tyle przydała się jej praca i cichy kącik rojeń, że otwarły komuś bramę szczęścia...

Zaczęła snuć świetną przyszłość dla Romińskiego, przyczem opadały na dół znużone powieki—co znowu przypomniało potrzebny spoczynek i potrzebniejsze wstanie rychło rano, aby dla załatwienia nieogłędności rachunkowej Romińskiego, czyli wynagrodzenie pieniężnej straty, wyprac przywiezioną z drogi bieliznę. A z pracą tą jak z zbrodnią trzeba się było kryć, bo nużby tak o tem która z wielko-małych literatek się dowiedziała? Dopiero by to sztychono z polsko-amerykańskiej literatki.

Aby więc nazajutrz nie zasnąć, rzuciła się w szlafroczku na łóżko, westchnęła raz jeszcze do Chrystusa, dotknęła myślą ciężkiej samotności swej, wpatrzyła w dalekie obra-

zy, które nazywały się wspomnieniem niby to szczęścia. A smutne to szczęście. Samotne dzieciństwo... Ale były łany zboża na które z taką lubością patrzała i w zieleń ich małą rączką, gdyby w wód przezrocze, nurzała... Były brzozy aż na ziemię zwieszające luźne swe warkocze... szczególniej ta jedna... Gdy młode serduszko bolało, siadywała pod nią, obwijając się całą w zwieszającą jej zieleń, i pokazawszy światu tylko ciekawe oczy, wpatrywała się w niego, słuchając świergotu ptasząt i szumu liści drzew.

Spowita żywym pięknem natury zapomniała dziecinnych swych trosk.

I teraz, zapatrzona w smutne a jednak szczęśliwsze obrazy przeszłości, o tyle szczęśliwsze, bo przynajmniej na ojczystej ziemi, zasłuchana w daleki głos, objęta zielenią ojczystych pól i lasów, zapomniała swych trosk i zasnęła na chwilę — „biznesistka”.

W błędnem kole.

Nazajutrz rano o godzinie ósmej, gdy Romiński wszedł do biura, wyprana bielizna wisiała w sypialnym pokoju „biznesistki”, a ona sama siedziała już pochylona nad papierami.—Nie uszły jego uwagi świecące ręce wydawczynie, i jak każdy mężczyzna, który prędzej posądzi kobietę o złe nałogi, aniżeli o dobre, nie przeczuwając nawet, że on był ich przyczyną—pomyślał:—Ta też jeszcze w pretensjach, widać z godzinę trzymała ręce w wodzie ażeby po podróży wydelikatniały.

Wydawczynie zaś, z lśnięciami jeszcze na rzęsach łzami, uśmiechała się przyjaźnie do

niego, tłumacząc wczorajszą niegrzeczność znużeniem podróży.

Udobruchany zaczął teraz z kolei przeproszać pryncypałkę za zaniedbywanie obowiązków, przyznając się otwarcie, że dotknięcie instrumentów wytrąciło go z równowagi i, przemieniło od razu w innego człowieka.

— Pan nie myślisz chyba teraz zakuć się w mundur?—zapytała p. Łaż.

— Sam nie wiem, co ze sobą zrobię.

— Ja panu radzę ćwiczyć się w muzyce, a kto wie wyjdiesz jeszcze może na artystę.

Romińskiego, którego wojskowa służba nie bardzo nęciła, mile lechtały te słowa.

— Jeżeli obecna praca jest znośną dla pana, to zostań przy niej, a w wolnych chwilach ucz się muzyki. O ile w mej mocy będzie, pomogę Panu — doradzała pani Łaż.

I na tem też stanęło.

Romiński, pracując jak dawniej, uczęszczał do znanego w Chicago konserwatorium Fryderyka Chopina, gdzie profesorzy wróżyli mu świetną przyszłość. — Oprócz tego, popisywał się grą tu i ówdzie, a wszędzie wprost oczarowywał słuchaczy.

Po kilku miesiącach lekcji w konserwatorjum, energiczna p. Łaż, nie mogąc się doczekać tryumfu swego protegowanego, namówiła go do występu koncertowego.

Po głębszej naradzie postanowili wezwać do współudziału kilku biedniejszych uczniów konserwatorjum Chopina, a połowę dochodu z koncertu oddać na nowy sierociniec.

A więc postanowiono.

Sprzedają biletów zajęła się głównie p. Łaż i chociaż przy nabywaniu ich wymawiano się i krzywiono na wspomnienie nazwiska koncertanta, przypisując mu to bzika, to niehonorowość, to zawadzkę w księży, to niestałego amanta, to bezwyznaniowca, to wreszcie służkę kobiecych „fixum idei“, to jednak sporą ich liczbę sprzedała. O uwagach tych, ani słówkiem nie wspomniała Romińskiemu, trzymając wyobraźnię jego w czarownem kole zwycięstwa złudzeń.

On zaś ze swej strony nie odejmował jej energii, chociaż i do niego dochodziły niezadowolonia głosy, a te znów z przyczyny p. Łaż.

Mimo niechętnych szeptów, bilety się sprzedawały, a oni silni, wytrwali, szli rozpromienieni do celu. On, by na szczycie Olimpu ukazać się królem tonów, ona nie-

wolnica piękna, usuwająca kamienie z pod nóg tych, którzy do sztuki mieli prawo. Rozmiłowani w boskiem pięknie szli naprzód, nie dbając na szyderstwo zimnego—nieczułego pospólstwa.

XXVIII.

U celu.

W duszy Romińskiego odbywa się wielkie przygotowanie.

Najwyższa świątynia stoi dlań otworem. Wniebowzięty, wsłuchuje się w tajemne głosy uchwytnie tylko dla jej kapłanów...

Wiedział teraz skąd jasność i prawda boża na świat płynie. Długo w niepojętej męczarni jej szukał, aż znalazł ją w sile tworzenia. Ale to, co obecnie posiadał, nagrodziło całego życia cierpienie; — w zasłonecznym świecie dotykał źródła żywota. Zrozumiał też, której świątyni kapłani są prawdziwymi wykonawcami boskiej woli. Przeświadczenie iż jest jednym z nich łagodziło przebyte bóle.

Przyrzekał sobie wydobywać z dźwięków taką moc — coby wiecznym ukojeniem na duszę spływała. I przyrzekał sobie być jednym z tych, którzy w posłannictwo swe kładą czystość ducha i tem to uświęceniem wieść małych, ku czystym nieskalanym ideałom.

Przyrzekał żyć tylko dla sztuki, — w niej było jego królestwo, — w niej zaczynało się jego panowanie.

Wśród takich marzeń i przygotowań zbliżył się dzień publicznego występu — dzień tryumfu.

Bilety na salę Shoenhofena niemal wszystkie sprzedane, publiki więc będzie po brzegi, jest się na co sposobić.

Romińskiego coraz wyraźniej dochodzą tony, jakie otrzymują mistrze Olimpu, — żył nie tym światem.

Zaś p. Łaż. cała była przemieniona w promieniającą tęczę. Przygotowała przecież drogę królowi...

Zbliża się oczekiwany...

Wiosenny wieczór całym urokiem spływał na ziemię. Woń kwiatów zda się przenikać nawet duszne ulice Chicago. Srebrny księżyc w całej pełni—spokojny, prawie nieruchomy, jakby nic nie chciał stracić z ziemskiego widoku—patrzy na ziemię.

Uszczęśliwieni rozbitki, odurzeni od kilku dni powodzeniem, pośpieszają na salę, która staraniem p. Łaż. prześlicznie udekorowana, robi wrażenie czarodziejskiej groty, znajdującej się chyba w niebios krainie.

Na sali zaledwie dopiero kilka osób zajęło miejsca, ale też jeszcze godzina jest wczesna.

Romiński usunął się za kulisy do misternie ozdobionego dłań kwiatami gabinetu, a p. Łaż. zajęła miejsce na sali.

Zbliża się dziewiąta godzina. Niestety, rozpromieniona przed chwilą protektorka z ściśnionem teraz sercem naliczyła dwadzieścia ośm osób.

Zrozumiała obojętność. Bilety kupiono, gdyż połowa dochodu przeznaczoną była na sierociniec, ale o koncert nie dbano. Cóż publiczność chicagorską mógł obchodzić nieznany muzyk? — Czemże dla niej była siła muzyki? — Gdyby tak siła pięści, to co innego!...

Siła ducha nie wcieliła się jeszcze w bezkształtną masę chicagoskiej polonji.

Wesołe przed chwilą myśli, rozpierzchły się w nieładzie, rade schować się choćby pod ziemię...

Takie upokorzenie!... Czemu zasłużyli na to u chicagoskiej polonii?

Więc tak chicagoska polonia wita talenty?

Nie podobno było czekać dłużej; na estradzie ozwały się jakieś wesole dźwięki, ale p. Łaż. słuchała ich z zamarłym sercem i z płynącymi po policzkach łzami.

Po występach panny Gawrońskiej i pana Karasia biednych studentów konserwatorium Chopina—ukazał się Romiński.

Spostrzegłszy próżną niemal salę, zbladł śmiertelnie...

Chwilę się wahał ażali usiąść do fortepianu, ale koncert był już rozpoczęty, trzeba więc było wypełnić program.

Chwiejąc się jak pijany, zbliżył się do ulubionego instrumentu, lecz zamiast walca, którym miał powitać publikę, wydobył smutne jak śmierć tony pogrzebowego marsza Chopina.

Najpierw skarga, potem łzy, następnie urywane charczenie wydobywały się w nierównych dźwiękach, a wreszcie ucichło wszystko, a grający po chwili jakiegoś mocowania się z sobą—runął na podłogę.

P. Łaż. jako też najbliżsi z za kulis przybiegli na pomoc, jak sądzili, omdlałemu, ktoś

skoczył po doktora, a gdy ten nadszedł skonstatował już tylko śmierć.

Nie wytrzymało biedne serce więcej ataków bólu... Pękło na objaw ludzkiej obojętności...

XXIX.

W obliczu śmierci.

W tajemniczym pokoju, gdzie dusza Romińskiego po raz pierwszy uchwyciła czarownych dźwięków moc, stoi na środku ostatnie jego mieszkanie, obstawione wedle zwyczaju dookoła lodem.

Zimna, śmiertelna ustron, pomimo późnej godziny, oświetlona jest jasno, gdyż w rogu pokoju, siedzi przy biurku p. Łaż, pisząc coś pilnie.

Minęła północ, cisza zaległa całe miasto, gdy wreszcie podniosła się z krzesła i stanęła obok trumny.

Patrzała chwilę nieruchomym wzrokiem na smutny domek przyjaciela i—szepnęła:

— Za kilka godzin zacisną wieko na zawsze; pożegnam cię zatem, zanim przyjdą tu obci.

Oparła ręce o trumnę i chwilę stała, jakby wahała się ją otworzyć.

Cisza dokoła zaległa grobowa...

Usunęła rękę z wieka i... w obawie może, lub nadziei—zapukała weń lekko trzy razy...

Cisza była odpowiedzią.

— Czegoż się lękam? — wyrzekła wówczas głośniejsz, — zimnych zwłok wśród ciszy nocnej?

Nie w taką czarną milczącą noc stanęłam wobec widma tyrańskiej śmierci i uchyliłam czarnej, zimnej jej zasłony!—Nie w taką noc, złożywszy w grobie marzenia, puściłam się ciernistą drogą ku bladym świtom dnia...

Czarniejsza noc była przedemną, okropniejsza cisza i pustka, gdym po raz pierwszy zapukała w zimną powierzchnię ludzkich uczuć...

Od tego czasu, nie jedno już wieko zimnego mieszkania uchyliłam—nie jedno zastygłe serce ogrzałam...

Przy tych słowach podniosła śmiało wierzch trumny, odłożyła go na bok, i — z wielką boleścią wpatrzyła się w zmienione rysy przyjaciela.

— O—umęczony talencie! — wybuchnęłam żalem, mógłbyś być gwiazdą świecić na obczyźnie, a oto zdruzgotany obojętnością, leżysz bezwładny na marach.

O—umęczony talencie, dla którego chcia-
am pracować,—pomszczę cię!

Uścisnęła zimną dłoń przyjaciela, jakby
tem potwierdzić chciała wykonanie danej
obietnicy; podeszła następnie do biurka, wzię-
ła w rękę co dopiero zapisane karty i znów
snuła głośno:

— Są tu opisane urywki życia twego —
dam je do druku, zanim mogła mnie po-
kryje.

Rzucę je na targ ludzki, może choć w ma-
łej części przyczynią się zawarte w nich my-
śli do podniesienia twórczego ducha wśród
zimnej, trupiej rzeszy naszego wychodźstwa.

Rzucę je w twarz handlarzom, u których
niema litości dla cierpień drugich, niema
poszanowania osobistych przekonań, niema
szlachetności, niema ludzkiego uczucia.

Szakalom tym w człowieczych postaciach
ukazę nieczne ich postęпки, choćby za to roz-
szarpać mnie chcieli...

Nie mają wreszcie już co gryźć... Wys-
sali ze mnie łagodność,—uczucie—ogryźli do
kości...

O—przyjacielu mój jedyny! złamany ty
talencie!—pomszczę cię!

Obróciła się ku zwłokom, chcąc zakryć je
wiekiem, gdy wzrok jej padł na ścianę na

ukrzyżowanego Chrystusa.—Z bolesnym jękiem przypadła do nóg Zbawiciela i łkała:

— O Chryste—nie mogę wznieść się do twej świętości, Tyś przebaczył, boś był doskonałym!—jam tylko zwykła ułomna kobieta...

Zresztą gdyby chodziło o mnie jedną — przebaczyłabym,—ale idą za mną nowe światy, nowi ludzie, a za nimi gwiazdy światła wielkiego... idzie Boski Duch!

Dla niego, dla Ducha Światła trzeba torować drogę, trzeba oczyszczać rynki ludzkiego targu,—trzeba — handlarzy piętnować...

Przebacz o Chryste i dodaj mocy, gdy rzucą się na mnie napiętnowani handlarze.

Spokojna potem, włożyła wieko na trumnę, ugięła kolana i w cichej modlitwie do trwała na klęczkach do brzasku dnia.

Gdy słońce w okno zajrzało, siedziała znów przy biurku, pisząc z pośpiechem, a gdy w godzinę później pogrzebowy zjawił się we drzwiach by męczennika sztuki zawieźć na wieczny spoczynek,—Tak, teraz już wszystko załatwione—wyrzekła składając pióro, — jestem gotowa na mogilne pociski..

K O N I E C .